

Prenumerata w Warszawie:
 Rocznie Rs. 7 kop. —
 Półrocznie „ 3 „ 50
 Kwartalnie „ 1 „ 75
 Miesięcznie „ — „ 60
 Za odosłanie do domu
 dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca
 się kop. 20.

Cena pojedynczego nu-
 meru bez dodatku k. 20.

Prenumerata na Prowincyi
 i w Cesarstwie:
 Rocznie Rs. 9 kop. —
 Półrocznie „ 4 „ 50
 Kwartalnie „ 2 „ 25
 Za Granicą:
 Rocznie 12 guld. — 18 m.
 Półrocznie „ 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-
 tor Redakcyi po kop. 10 za
 wiersz petitowy lub za je-
 go miejsce. Reklamy po
 kop. 25.

GŁOS

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCYJA i ADMINISTRACYJA
BRACKA Nr. 25.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden
 zeszyt dzieł naukowych.

TREŚĆ: Stronnictwo ludowe w Ameryce, przez J. L. P.
 Ze stosunków społecznych Australii, przez Adolfa Warsa.
 Z dziedziny etnografii, przez Z. W.
 Katarzynki zagraniczne, przez F. Jabłczyńskiego.
 Listy emigranta, przez Tomasza Pawłowskiego.
 Głosy: Wycieczka cyklistów. — Zawód emigrantów. — Spro-
 stowanie „Kurjera Warszawskiego.” — O emigracji brazylij-
 skiej.
 Z kraju, przez J. Nieborskiego.
 Listy z nad Niewiaży, przez Jana Witorta.
 Przegląd społeczny: Lublin, Piotrków, Kijów, Wilno,
 Białystok, Bobrujsk, Hory-Horki, Petersburg, Kraków, Lwów.
 Przegląd polityczny.
 Kronika literacka.
 Kronika powszechna.
 Odpowiedzi od redakcyi.
 Ogłoszenia.
 Odeinek: Siłaczka. nowella, przez Stefana Żeromskiego.
 W dodatku: Z zakutego grodu, przez Kazimierza Gliń-
 skiego. (Ciąg dalszy).

Stronnictwo Ludowe w Ameryce.

Stosunki europejskie i amerykańskie, oglą-
 dane przez szkiełka, jakie przed oczami czy-
 telników stawią nasi specyjalni informatorzy
 z dziedziny ruchu społecznego, wydają się
 nieraz inszymi, aniżeli są w rzeczywistości.
 Oto np. panowie ci przy każdej sposobności
 i bez sposobności opowiadają o zasadniczym
 antagonizmie interesów klasy robotniczej i
 chłopów, drwiąc ironicznie z „ciemnego” za-
 cofanego chłopstwa, które po za swą chału-
 pą i „obórką” świata i tego, co się na nim
 dzieje, nie widzi. Ta niezrozumiała pogarda,
 ta ślepa, bo nie dostrzegająca najwyraźniej-
 szych faktów, nienawiść do chłopstwa, jaką
 na każdym prawie kroku jawnie wykazują
 lub mimowoli zdradzają nasi, że tak powiem,
 uspołecznieni i na czerwono pomalowani, syn-
 kowie mieszczańscy lub szlacheccy—ma wiele
 powodów, o których mówić teraz nie bę-
 dę. O jednym jednak wspomnę. Doktryne-
 rzy tego gatunku w spółczesnym rozwoju
 kwestyi społecznej widzą tylko jedną jej
 stronę — organizację produkcji, pomijając
 zupełnie drugą — emancypację pracy, a ra-
 czej klas pracujących. Tymczasem zwraca-
 jąc również uwagę na tę stronę współczes-
 nego ruchu społecznego, widzimy, że pomi-
 mo niewątpliwej sprzeczności wielu intere-
 sów różnych warstw ludowych, istnieje po-
 między nimi łagodząca te sprzeczności soli-
 darność, bo wszystkie te warstwy: rzemieślni-
 cy czy robotnicy fabryczni, drobni właścici-
 cie, czy wyrobnicy i parobcy stanowią jed-
 ną wielką klasę pracującą w przeciwstawi-
 eniu do klas niepracujących. Z tego względu

lud, pojmowany jako całość klas pracujących
 danego społeczeństwa, nie jest bynajmniej
 wyrazem bez treści, a stronnictwo ludowe
 opiera się na podstawie zupełnie realnych
 dążeń i interesów.

Takie właśnie stronnictwo ludowe organi-
 zuje się obecnie w Stanach Zjednoczonych.
 Na wielkiej „narodowej konferencji zwią-
 kowej” w Cincinnati, w której brało udział
 1,418 delegatów różnych stowarzyszeń, u-
 chwalono organizację nowego stronnictwa,
 które składać się będzie ze związków drob-
 nych posiadaczy ziemskich (farmerów) i ol-
 brzymiego związku robotniczego, znanego
 pod nazwą „rycerzy pracy”. Pobudką do
 zjednoczenia się tych związków był charak-
 ter polityki rządowej, protegującej wielki
 przemysł i wielkie spekulacje, jak np. trusty
 i kartele, które tak zachwycają naszych
 super-kapitalistów. Rzecz godna uwagi, że
 w programie nowego stronnictwa ważny
 punkt stanowi przeciwdziałanie demoralizacyi
 społecznej, jaką szerzy kapitalizm.

Nowe stronnictwo, jeżeli się utrwali, przed-
 stawiać będzie ogromną siłę liczebną. Zwią-
 zek „rycerzy pracy” miał w 1887 r. około
 1,000,000 członków, przeważnie robotników,
 jakkolwiek należyć doń mogą pracownicy
 wszelkich kategorii, z wyjątkiem przedstawi-
 cieli „zajęć niemoralnych”, do których zali-
 czono adwokatów, szynkarzy, agentów gieł-
 dowych i bankierskich, faktorów i t. p.

W 1881 r., kiedy stał się jawnym, związek
 miał zaledwie 50,000 członków.

Związki farmerów później jeszcze powstały
 ale rozwinęły się z niesłychaną szybkością.
 Z początku były to organizacje tajne, co
 zresztą jest w Ameryce dozwolonem i uja-
 wniły się dopiero w ostatnich latach, kiedy
 przybierać zaczęły barwę polityczną. Główny
 z tych związków, który dał właśnie inicjaty-
 wę do wytworzenia nowego stronnictwa—
National Farmers Alliance liczy 3,200,000 człon-
 ków. Obok niego istnieje drugi, z zadaniami
 czysto politycznymi, *National Farmers League*.
 Jest oprócz tych dwóch stowarzyszeń związek
 farmerów murzynów, pod nazwą *National*
Colored Farmers Alliance. Dwa ostatnie związki
 mają po 1,000,000 członków.

Obie organizacje—„rycerze pracy” i zwią-
 zki farmerskie—oświadczają się przeciw pro-
 tekcyjnizmowi celnemu, a zwłaszcza przeciw
 billowi Mac Kinleya, domagają się jednak opie-
 ki nad pracą narodową. „Rycerze pracy”
 żądają zakazu sprowadzania obcych robotni-
 ków, związki farmerskie—zakazu sprzedawa-
 nia ziemi cudzoziemcom.

Program „rycerzy pracy”, oprócz klasycznych
 „trzech osemek”, zawiera takie jeszcze punkty:
 1) rozstrzygnięcie sporów między fabrykanta-
 mi i robotnikami przez sądy polubowne
 2) zniesienie pracy dzieci do lat 15, 3) rów-
 nomierne wynagradzanie mężczyzn i kobiet
 4) zniesienie pracy więźniów, 5) zapewnienie
 pracownikom udziału w zyskach z przedsię-
 biorstwa i t. d.

Związki farmerskie domagają się przede-
 wszystkim 1) odebrania na własność narodu
 wielkich obszarów ziemi, zagarniętych przez
 różne syndykaty lub towarzystwa kolejowe
 2) unarodowienia dróg żelaznych i innych
 środków komunikacyjnych, wreszcie 3) reformy
 bankowej i systemu podatkowego.

Aspiracje niektórych związków farmer-
 skich posuwają się aż do unarodowienia ziemi,
 co wywołuje sympatyję dla nich wśród „ry-
 cerzy pracy”, między którymi wielu jest zwo-
 lenników George’a.

Kompromis między dwiema organizacjami
 nie przedstawiać wielkich trudności, bo jak-
 kolwiek programy ich mało mają punktów
 wspólnych, nie zawierają natomiast żądań
 sprzecznych. Oba związki—robotniczy i far-
 merski walczą z wielkim kapitałem, oba do-
 magają się opieki dla pracy narodowej, oba
 wreszcie przeciwne są cłom i żądają reformy
 finansów. Te wspólne żądania podkreślono
 w programie nowego stronnictwa, kładąc
 obok tego szczególny nacisk na walkę z de-
 moralizacją publiczną. Zdaje się, że dawne
 stronnictwo *greenbackerów* weszło w skład no-
 wego, program bowiem usilnie domaga się
 zwiększonej, prawie nieograniczonej emisyi
 biletów bankowych i swobodnego bicia mo-
 nety srebrnej. Ten jednak punkt programu
 w informacjach, jakie podają dzienniki,
 przedstawia się dosyć nie jasno.

Zobaczymy wkrótce, czy nowe stronnictwo
 amerykańskie ma trwałe warunki istnienia,
 w każdym razie daje ono przykład pouczają-
 cy, że stworzenie wielkiego stronnictwa lu-
 dowego, z programem obrony dążeń i intere-
 sów wszystkich warstw pracujących—jest
 zupełnie możliwym. Wprawdzie stosunki spo-
 łeczne w Ameryce układają się nieco inaczej
 aniżeli nawet w Europie zachodniej, ale zasadni-
 czych różnic między nimi niema, albo raczej
 są takie, jakie dostrzegamy w różnych spo-
 łeczeństwach europejskich.

J. L. P.

Ze stosunków społecznych Australii.

II.

Jak wszystkie kraje o młodej kulturze, kolonie australijskie nie posiadają jeszcze pisanej historii swego gospodarstwa społecznego. To, co dotąd zrobiono w tym względzie, stanowią raczej notatki historyczne, kreślone pod wpływem osobistych i politycznych interesów autorów. Natomiast, dziś jeszcze znane są tam dobrze imiona i pokrewieństwa pierwszych kolonistów, długość i szczegóły ich życia, nazwy okrętów, na których przybyli, imiona członków pierwszych prawodawczych zgromadzeń i t. d. Znanymi są też pochodzenie i czas przybycia najużyteczniejszych w gospodarstwie zwierząt domowych, zarówno jak i imiona ich pierwszych importerów. Lecz nikt się nie troszczy o historię ruchu klasy robotniczej lub np. o skreślenie zmiany, jaka zaszła w położeniu stanu włóściańskiego.

Co dziwniejsza, nawet *Trades uniony*, z wpływem których spotyka się badacz w Australii na każdym niemal kroku, nie przedsięwzięły dotychczas żadnej w tym kierunku pracy. Pomimo urządzanych przez się corocznie kongresów interkolonialnych, „uniony” nie pokusiły się ani razu jeszcze o zebranie danych co do swej liczby, tym mniej zaś co do liczby połączonych w związki robotników i ich stosunku procentowego doreszty klasy pracującej. Wiktoryja tylko stanowi tu wyjątek. Amerykański komisarz rządowy, M. Coppin skreślił szkie historyczny tamecznych organizacji robotniczych.

Pierwsza próba organizacji wypadła w Wiktoryi w roku 1847, a zatem w początkach powstania kolonii, kiedy mianowicie mularze, zajęci budowaniem zaczątków miasta Melbourne, złączyli się w jedno stowarzyszenie, w celu wspólnej obrony i walki przeciwko każdej krzywdzie, wyrządzonej pracy. Panowały wówczas najpomyślniejsze dla rzemieślników warunki pracy. To też potrzeba łączności i organizacji nie dawała się bardzo czuć pomiędzy nimi. W dodatku, gruchnęła nagle wieść o odkryciu bogatych pól złotych i lotem błyskawicy obiegła Australię od krańca do krańca. A gdy wiadomość ta potwierdzoną została, gdy gorączka złota opanowała wszystkich, organizacja mularzy

upadła zupełnie. Ci ostatni wraz z cieślami i samymi nawet przedsiębiorcami budowlanymi, rzucając kielnie i topory, biegli szukać drogiego żółtego metalu, zaopatrzeni w motyki i szufle. Te stosunki przeciwieństwa trwać nie mogły. Tysiące górników, zwabionych do Wiktoryi nadzieją ogromnych zysków, przepełniły wkrótce rynek pracy, obniżając bardzo zarobki. Dochód z przemywania złota coraz mniej odpowiadał powszechnie głošonym nadziejom i życzeniom. Tymczasem, za każdy inny rodzaj wykwalifikowanej i niewykwalifikowanej pracy dawano niezwykłe wysoką płacę. Wielu tedy rękodzielników wracało do swego rzemiosła, znajdując w niem wyższy i pewniejszy dochód, aniżeli większa część zajętych wypłukiwaniem złota. Jednocześnie w okręgach, obfitujących w bogate pokłady złota, powstawały i rozrastały się miasta, koncentrując w sobie ruch przemysłowy i handlowy kolonii. W nich też wzrosła liczebnie i skupiła się klasa robotnicza. Od tego właśnie czasu datuje się powstawanie organizacji robotniczych i rozwój ruchu. W Australii opowiadają sobie o tem następującą historię:

Było to w srodkiem upalnego lata australijskiego, w grudniu 1855 roku. Na jednym z przedmieść Melbourne'u zajętych było przy budowie domu 20 do 30 mularzy. Słońce grzało nielitościwie, oblewając pracujących dokuczliwym potokiem jaskrawych promieni. Godzina była blisko 3 po południu. O tej porze, zarówno jak i o 11-tej przed południem, zwyczajem było w Australii odpoczywać kwadrans czasu i palić fajki. Zadzwoniono. Ocierając z czoła pot, gęstemi kroplami płynący, mularze usiedli w cieniu i zapalili swe fajki. Wszyscy skarżyli się na upał i ciężką pracę. Wspomniawszy Anglię, żalować zaczęli, że porzucili swój kraj i odbyli tak długą podróż po to tylko, aby znów pracować tu, jak i tam, po 10 godzin dziennie. Wówczas jeden z obecnych rzucił pytanie: „Coby też było, gdybyśmy pracowali dziennie 8 godzin?” Projekt, w formie pytania podany, spodobał się wszystkim. Zaraz też postanowiono zwołać na zebranie wszystkich robotników mularskich. Rezolucja, uchwalona na odbytem z tego powodu zgromadzeniu, głosiła, że na przyszłość wszystkie 9 rodzajów rzemiosła mularskiego obowiązuje 8-g dzinny dzień. Cel ten stał się głównym bodźcem organizacji najemników w Wiktoryi i całej Australii.

O rezolucyi odnośnej zawiadomiono natych-

miast przedsiębiorców budowlanych. Mularze i cieśle wstrzymali się z tem do marca 1856 roku. Tymczasem nadeszła zima i pracodawcy nie byli bynajmniej zmieszani zakomunikowaną im uchwałą, ponieważ w krótkie dni zimowe praca nie może trwać o wiele dłużej nad 8 godzin. Przedsiębiorcy jednak wymówili sobie czas do namysłu i urządzili pomiędzy sobą zebranie, na którym postanowili zgodzić się na żądanie robotników, z zastrzeżeniem, że wszystkie dotychczas zawarte umowy będą wypełnione. Jedyne bezrobocie, jakie z tego powodu wybuchło pomiędzy mularzami zajętymi budowaniem największego w kolonii gmachu parlamentarnego, trwało zaledwie tydzień, poczem przedsiębiorcy zgodzili się na żądanie robotników, którzy też 21 kwietnia 1856 r. wrócili do pracy stosując się do nowej już normy dziennej.

Była to pierwsza ważna zasada, w imię której robotnicy zmuszeni byli połączyć się wzajemnie. Nie była to bynajmniej idea pojedynczego człowieka, tym mniej zaś przyjęta pod wpływem upalnego lata australijskiego; było to raczej śmiałe postanowienie energicznych kolonistów, którzy przywędrowali na drugą półkulę globu ziemskiego nie po to tylko, aby żyć i pracować. Szukali tu szczęścia, którego nie może dawać nikomu całodzienna, męcząca praca, nie pozostawiająca czasu na rozwój duchowy i kształcenie.

Dla uczczenia tak ważnego zwycięstwa urządzono w poniedziałek po t. zw. Niedzieli Białej 1856 r. tryumfalne procesyje, igrzyska i sporty. Było to uroczyste, ogólne święto robotników, w którym wzięty udział wszystkie ich stowarzyszenia. Procesyje przemarszerowały przez główne ulice Melbourne'u, kierując się do miejsc zabawy. Z dochodów, jakie otrzymano z biletów wejścia, po pokryciu wszystkich wydatków, pozostała suma ofiarowana została na rzecz szpitala miejscowego. Wówczas powstała myśl, która niewątpliwie wywrzeć musiała wpływ dodatni w kierunku ściślejszego związania się członków nowopowstałych trades-unionów.

Postanowiono mianowicie, dla uświetnienia zwycięstwa na korzyść 8 godzinnego dnia, obchodzić na przyszłość w oznaczony dzień roczne uroczyste święto. Dochody zaś, otrzymane z obchodu świątecznego, miały zostać obrócone na wybudowanie własnego gmachu dla unionistów. 21 kwietnia 1857 r. obchodzono już drugą rocznicę zwycięstwa. Wprawdzie, nie wszystkie jeszcze gałęzie pracy prze-

SIŁACZKA

NOVELLA

przez Stefana Żeromskiego.

W nienajlepszym humorze powrócił do domu dr. Paweł Obarecki z winta, za pośrednictwem którego składał uroczyste życzenia ks. plebanowi, wraz z aptekarzem, poczciarzem i sędzią w ciągu osiemnastu godzin z rzędu. Powróciwszy, drzwi gabinetu zamknął tak szczerze, aby się doń nikt, nie wyłączając dwudziestoczteroletniej gospodyni, wdrzeć nie mógł,—usiadł przy stoliku i wpatrywał się przedewszystkiem z uporem w okno, bez żadnego zresztą wyraźnego powodu, następnie zaś zajął się bębnieniem palcami po stole. Czuł najwyraźniej, że opanować go zaczyna „metafizyka”...

Wiadomą jest rzeczą, że człowiek kultury, wyrzucony przez pęd odśrodkowy niedostatku z ogniska życia umysłowego do Klwowa, Kurozwęk lub jak dr. Obarecki, do Obrzydłowa, podlega z upływem czasu, wskutek dżdżów jesiennych, braku środków komunikacji i absolutnej niemożności mówienia w ciągu sezonów całych—stopniowemu przeistaczaniu się w twór mięsożerno-roślinozerny, wchłaniający nadmierną ilość butelek piwa i poddany atakom nudy, osłabiającej aż do takiego stanu, jaki graniczy z usposobieniem, poprzedzającym wymioty. Zwyczajną nudę małomiasteczkową połyka się bezwiednie, jak bezwiednie zając połyka jajka tasiemca, rozproszone na trawie przez psy. Od chwili zagnieżdżenia się w organizmie bęblowca —

„najzupełniej mi jest wszystko jedno” — zaczyna się właściwie proces umierania. Doktor Paweł w epoce jego życia, o jakiej mówię, zjedzony już był przez Obrzydłówek wraz z mózgiem, sercem i energiją—zarówno potencjonalną, jak kinetyczną. Doświadczał nieprzewycięzonego wstrętu do czytania, pisanania oraz rachowania, mógł całemi godzinami spacerować po gabinecie, lub leżeć na szeszlongu choćby z niezapalonym papierosami w zębach w tęsknym, dokuczliwym i bolesnym niemal oczekiwaniu na coś, co się stać musi, na kogoś, kto musi nadejść, mówić cokolwiek, choćby kozły przewracać, w natężonym wstuchiowaniu się w szmery i szelesty, zwiastujące przerwanie ciszy, która dławi i przygniata niejako do ziemi. Szczególniej dokuczała mu zazwyczaj jesień. W ciszy jesiennego popołudnia, zalegającej Obrzydłówek od przedmieścia do przedmieścia, było coś bolesnego, coś, co poduszczało do wołania o pomoc. Mózg, opleciony niby miękiem przedziwem pajęczyny, wypracowywał myśli czasami niesłychanie popolite, a niejednokrotnie—stanowczo do niczego nie podobne.

Gwizdanie i dysertacje z gospodynią raz przyzwoitsze (o niesłychanej np. wyższości pieczzonego prosięcia, nadzianego kaszą tatarską, rozumie się, bez majeranku, nad takimże prosięciem, nadzianem innemi substancjami), kiedyindziej zaś ohydnie nieprzyjemne — stanowiły jedyną rozrywkę. Wytoczy się, bywało, na połowę niebios chmura z potwornemi odnogami w kształcie łap tytanicznych i bury jej kłęb zawiśnie bezwładnie, nie mogąc rozwiać się w przestwór i grożąc zawaleniem się na Obrzydłówek i dalekie, puste pola. Od chmury tej leci, niesiona przez wiatr ukośnie, mgła kropielek,

które osiadają na szybach w postaci kryształków, sprawiając w szumie wiatru szelst odrębny a przejmujący, jakby obok, gdzieś za węglem domu kłało, dobywając resztki jęku, umęczone chorobą dziecko. Daleko na miedzach stoją pozbawione liści, samotne gruszki polne, miotają się ich gałęzie, deszcz je siecze... Myśl zbierała z tego krajobrazu smutek, w którym było coś chronicznie kataralnego — i mglisto, niejasno, bezwiednie wyrażaną trwogę. Ten właśnie nastrój kataralno-melancholijny stał się nastrojem dominującym i rozciągnął się na sezony letnie i wiosenne. Zagnieżdził się w duszy doktora smutek zjadliwy, a nie mający żadnej podstawy. Za nim nadciągnęło lenistwo nieopisane, lenistwo zabójcze, wytrącające z rąk ofiary nawet nowelle Alexis'a.

„Metafizyka”, jakiej dr. Paweł doświadczał ostatnimi czasy raz, czasami dwa razy do roku—to kilka godzin świadomego samobadania, bystro, z szaloną gwałtownością napływających wspomnień, niecierpliwego zbierania strzępów wiedzy, szamotania się, graniczącego z wściekłością szlachetnych porywów, przywalonych gliną beczynności, rozmyślań, wybuchów gorocy, postanowień niezłomnych, ślubów, zamiarów... Wszystko to, rozumie się, nie prowadziło do żadnej zmiany na lepsze i przemijało, jako pewna miara czasu mniej lub więcej dotkliwego cierpienia. Z „metafizyki” można się było wyśpać, jak z bólu głowy, by wstać nazajutrz z umysłem odświeżonym, energiczniejszym i uzdolnionym lepiej do podjęcia zwyczajnego jarzma nudów, oraz zużywania wszystkiej energii mózgu na obmyślanie najsmaczniejszego jadła. Endemija „metafizyki” wskazywała jednak naszemu doktoro-

szły wówczas na stronę nowego porządku rzeczy. Lecz liczba jego stronników wzrastała z każdym rokiem; równie szybko powstawały nowe „uniony”. W końcu 1857 r. przedstawiciele „unionów” otrzymali w darze od rządu 2 akry ziemi na wybudowanie własnego gmachu zebrań.

Prawie w tym samym czasie wybuchły małe nieporozumienia pomiędzy maszynistami i ich przedsiębiorcami, które doprowadziły do strejku. Przy tej okoliczności podniesiono również żądanie 8 godzinnego dnia. Bezrobocie trwało tylko jeden tydzień i skończyło się zwycięstwem robotników. W ten sposób nowa zasada zdobywała sobie coraz bardziej szerokie uznanie. Rozumie się, w ruchu tym nie małą rolę odegrała energia, właściwa wszystkim pierwszym kolonistom. We wrześniu 1858 r. odbyło się ogólne zebranie członków Trades unionów, na którym postanowiono wystawić drewniany gmach kosztem 20,000 marek, na gruncie przez rząd podarowanym; w kwietniu zaś następnego roku wszystko już było gotowe.

W latach 1861—64 liczba członków związków zmniejszyła się bardzo. Liczba osób, które brały udział w dorocznych uroczystościach na pamiątkę wprowadzenia 8 godzinnego dnia, spadła z 5,000 w r. 1859 do 3,000 w 1863. W handlu i przemyśle zapanował kryzys. Był on skutkiem konkurencji, jaką kolonije na niekorzyść swoją prowadziły musiały ze starymi cywilizowanymi krajami Europy. W tym czasie popyt na pracę tak osłabł, że wielu wykwalifikowanych i prostych robotników nie mogło zarobić na swoje utrzymanie i uciec się musiało do dobroczynności publicznej. Jakkolwiek wówczas płace dorosłych najemników wynosiły dziennie 6—10 marek, wielka jednak część ich rada była zarobić choćby 4 mar. Złote pola nie dawały już więcej sposobności do bogatego zarobku, i zaledwie mała garstka przemysłowców zdołała otrzymywać większy dochód. Wówczas rozpoczęła się w całej kolonii silna agitacja na korzyść ceł ochronnych. Gazeta *The Age*, która od początku stanęła na czele tego ruchu, rozwinęła się z małego piśmka na wielce wpływowy i popularny organ, z nakładem 82,000 egzemplarzy dziennie. Pracodawcy, zarówno jak i robotnicy przyjęli energiczny udział w tym ruchu. W 1865 r. agitacja uwieńczona została powodzeniem, i od tego czasu rozpoczął się na nowo postęp przemysłu. Popyt na pracę wzrastał coraz bardziej, w roku zaś 1865 Trades-unionizm obudził się na

nowo w Wiktorji. Ruch w kierunku rozpowszechnienia 8 godzinnego dnia wzrósł z nadzwyczajną siłą. Robotnicy, zajęci w składach drzewa, zażądali nowej tej normy pracy dziennej i otrzymali 8 godzinny dzień prawie bez żadnych trudności. Potem ruch rozpoczął się wśród majtków okrętowych. Ponieważ jednak dla powodów praktycznych trudno było zachować 8 godzinny dzień na morzu, postanowieniem zostało i przyjętem żądanie, aby majtkowie, zajęci na okrętach, stojących w porcie, pracowali tylko 8 godzin na dobę. Około 1878 roku ruch w tym kierunku uczynił już w Wiktorji takie postępy, że jedynie tylko rzemieślnicy krawieccy nie pracowali jeszcze podług nowej normy. Główne trudności spowodowane tu zostały przez rozpowszechniony bardzo zwyczaj pracowania na akord. To też towarzystwo krawców tworzy własny związek, nie reprezentowany wcale w *Trades Hall* (izbie pracy). Pomimo to, w wypadku bezrobocia, Trades uniony nie omieszczałyby ze swej strony pośpieszyć im z pomocą.

Taką jest w krótkości historia ruchu „ośmiogodzinnego” w Wiktorji. Nie wyczerpuje to bynajmniej działalności i zadań organizacji robotniczych. Tu jednak przypatrzymy się naprzód historii i urzędniom „of the Trades Hall and the Trades Hall Council” (*Izba pracy i Rada Izby pracy*).

Drewniany gmach, wystawiony przez uniony i przeznaczony na zebrania, w r. 1859, był tylko prowizoryczny. Postanowiono, skoro fundusze kasy wzrosną, wybudować gmach większy i okazalszy. Lata 60-te nie były pomyslnymi dla tego rodzaju celu. Dopiero w 1873 roku mogły „uniony” podjąć myśl o wybudowaniu nowej i stałej *Trades Hall* (*izby pracy*). W 1874 roku stanął wspaniały gmach, wybudowany kosztem 70,000 marek. Pieniądzy dostarczyły dochody z każdorocznych uroczystych obchodów „święta ośmiogodzinnego” i wkłady od „unionów”, przyjmowanych do *Council* (rady). Liczba organizacji i ich członków rosła jednocześnie z rozwojem stosunków przemysłowo-handlowych kraju. Z tego powodu, już w 1881 roku sale zebrań i biuro *Trades Hall* okazały się zupełnie niewystarczającymi. Z początkiem 1883 roku został przeto przybudowany nowy gmach kosztem 68,000 mar. Dobrobyt wciąż wzrastał, a z nim i liczba członków, tak, że po roku skarżono się znowu na ciasnotę w salach zebrań i biurze. Rząd powtórnie ofiarował unionom kawał zie-

mi, na którym też stanął wkrótce nowy budynek dodatkowy.

Dochody netto z obchodu „święta ośmiogodzinnego” wciąż wzrastają; wzrasta również liczba osób, biorących w niem udział. 21 kwietnia 1888 roku uczestniczyło w uroczystości około 25,000 ludzi. Dzień ten uznany został oficjalnie, jako dzień świąteczny. Gubernator, zarówno jak i ministrowie kolonii towarzyszą pochodowi uroczystemu, począwszy od gmachu ministryjalnego i biorą udział w następującym potem bankiecie, na którym nie brak nigdy ważnych mów politycznych. Dzień święta jest przytem jak najściślej przestrzegany przez robotników, którzy po skończeniu uroczystości udają się do *Friendly Society Garden*, gdzie oddają się w zupełności zabawom, sportowi i rozpamiętywaniu świetnego zwycięstwa na korzyść ośmiogodzinnego dnia. Czysty dochód z uroczystości kwietniowej wynosił w 1888 r. 24,000 marek. Pozwoliło to przystąpić do budowy dwóch nowych skrzydeł gmachu *Trades Hall*, kosztem 100,000 marek.

Trades Hall Council składa się z zarządzających majątkiem administratorów, formalnie przez rząd wyznaczonych, faktycznie jednak wybieranych przez „uniony” i z przedstawicieli wszystkich związków, które wniosły do *Trades Hall* odpowiednie wpłaty. Z początkiem 1889 r. liczba członków *Rady* wynosiła 130, przy czem reprezentowanych było 61 związków. Przedstawicielstwo związków w *Radzie* regulowanym jest w ten sposób, że na każde stowarzyszenie, liczące:

Od 20 do 100 czł. wypada 1 przed.	
„ 100 do 200 „	2 „
„ 200 do 400 „	3 „
„ 400 i wyżej „	4 „

Inne stowarzyszenia robotnicze mogą wysłać do *Rady* jednego delegata, z warunkiem płacenia rocznie 20 do 80 marek, stosownie do liczby swych członków. Aby być reprezentowanym w *Radzie*, każde stowarzyszenie musi posiadać conajmniej 20 członków, przy czem pod wyrazem *Trade Union* rozumieć należy związek osób, trudniących się pewnem rzemiosłem i połączonych, jako najemnicy, w celu ochrony i popierania swych interesów własnych.

Wszystkie prawie stowarzyszenia mają 48 godzin pracy tygodniowej, mularze zaś i kamieniarze pracują tylko 45 g; dopiero w ostatnich czasach udało się również cieślom zredukować czas pracy do tej liczby godzin. Przy 45 godzinach pracy tygodniowej robi się zwykle w

wi, że w jego egzystencji roślinnej, najedzonej niejako, nasyconej filozofją mocnego, zdrowego rozsądku kryje się jakaś rana nieuleczalna, niewidoczna, a dolegająca nad wyraz, niby ranka nad próchniejącą kością.

Dr. Obarecki przybył do Obrzydłówka przed sześcioma laty, zaraz po ukonczeniu studiów, z umysłem rozwidnionym zorzą niewielu wprawdzie, ale nadzwyczajnie pożytecznych myśli i kilkoma rublami w kieszeni. Mówiono podówczas powszechnie o konieczności osiedlenia się w lasach i Obrzydłówach—posłuchał apostołów. Był śmiały, młody, szlachetny i energiczny. W pierwszym zaraz po osiedleniu się miesiącu wydał niebacznie wojnę aptekarzowi i felczerom miejscowym, uzdrawiającym za pomocą środków, wkraczających w dziedzinę misteryj. Aptekarz obrzydłowski, „eksploatując sytuację” (do najbliższej, apteką przez cywilizację obdarzonej, miejscowości było mil pięć)—nakładał haracz na jednostki, pragnące powrócić do zdrowia dzięki jego olejom, — balwierze zaś pobudowali, trzymając się z farmaceutą za ręce, wspaniałe domostwa, w *kaabajach*, niedźwiadkami podbitych, chadzali, zachowując na obliczach takiej wyraz powagi, jak gdyby w każdej chwili żywota prowadzili ks. plebana na procesy Bożego Ciąta.

Gdy delikatne i ogłędne perswazyje, skierowane do farmaceuty, a wypowiedane patetycznie z rozmaitych „punktów widzenia”, traktowane były, jako idylle młodzieńcze i skutku żadnego nie odniosły,—dr. Obarecki, uzbierawszy nieco grosza, kupił apteczkę podręczną, którą zabierał ze sobą, jadąc do chorych na wieś. Sam przygotowywał na miejscu lekarstwa, udzielał ich za bezcen, je-

żeli nie za darmo, uczył higieny, badał, pracował z fanatyzmem, z uporem, bez snu i odpoczynku. Rzecz prosta, że natychmiast po rozejściu się wieści o apteckach przenośnych, udzielaniu pomocy za darmo i t. d.—wybito mu wszystkie szyby, jakie istniały w ubogiem mieszkaniu. Ponieważ zaś Boruch Pokoik, jedyny szklarz w Obrzydłówie, odprawiał w owym czasie święto Kuczek,—trzeba było okna wykleić bibułą i czuwać nocą z rewolwerem w prawicy. Wprawione wreszcie szyby wybito powtórnie i wybijano je odtąd peryjodycznie, aż do chwili sprawienia dębowych okiennic. Rozpuszczono między ludnością miasteczka wieść, jakoby młody doktor obcował z duchami ciemności, oczerniono go w opinii inteligencji okolicznej, jako niesłychanego nieuka, odciągano przemocą chorych, zmierzających do jego mieszkania, wyprawiano w majowe wieczory kocie muzyki i t. d. Młody doktor nie zwracał na to wszystko uwagi, ufając w zwycięstwo prawdy. Zwycięstwo prawdy jednak nie miało miejsca—nie wiadomo dlaczego... Już po upływie roku doktor poczuł, że jego energia staje się zwolna „dziedzictwem robaków”. Zetknięcie blizkie z ciemną masą ludu rozczarowało go nad wyraz: jego próśby, namowy, istne prelekcje z zakresu higieny—upadały, jak ziarna na opokę. Robił, co tylko mógł—na próżno! Szczerze mówiąc—trudno nawet wyimagować, aby człowiek, nie mający butów na zimę, wygrzebujący w marcu z cudzych pól zgniłe, zeszlatorczone kartofle w celu czynienia sobie z nich podłomyków, mielący na przednówku korę olszową na mąkę, aby tej domieszać do zbyt szczupłej miary mąki żytniej, gotujący kaszę z niedojrzałego ziarna, nabrał o świecie „sposobem kradzionym”,—

mógł zreformować w sensie dodatnim zaniedbane zdrowie swoje pod wpływem choćby najrozumialej wyłożonych praw zdrowotności. Nieznacznie doktorowi zaczęło być „wszystko jedno”... Jedzą zgniłe kartofle—cóż począć? — niechaj jedzą, jeżeli im smakuje. Mogą nawet jadać surowe — to trudno...

Ludność żydowska miasteczka leczyła się u marzyciela, ponieważ nie odstraszały jej duchy ciemności, a zachęcała nadzwyczajna tania „medycyna”.

Pewnego pięknego poranku doktor skonstatował, że ów płomyczek nad jego głową, z którym tu przyszedł i którym chciał rozwidnić drożynę swoją—zgasł. Zgasł sam przez się: wypalił się. Wówczas apteczkę podręczną na klucz do szafy zamknął i sam jedynie z niej korzystał.

Co za męczarnia jednak dać się pokonać farmaceutce i balwierzom, ustać, zakończyć wojny obrzydłowskie zamknięciem apteczki do szafy!

Zwycięzcami mają prawo się okrzyknąć i zbierać łupy, lecz nie oni go pokonali: sam się pokonał. Zaduśił proste i wysokie myśli i uczynki, może dlatego, że się w jadło zbyt mocno wdawać począł—dość, że zaduśił. Coś tam jeszcze robił, lecz myślał, — nie miał już jednak nikt z całej jego ówczesnej „działalności” za pół papierosa pożytku.

W okolicznych siedzibach pańskich przemieszkiwali dziwnym zbiegiem okoliczności sami troglodyci „z dziada pradziada”, którzy doktorów wogóle traktowali w sposób nieco niespółczesny. Jednemu z nich złożył doktor Paweł wizytę, co było pomysłem chybionym, ponieważ troglodyta przyjął go u siebie w gabinecie, siedział podczas wizyty

poniedziałek 5 zamiast 8 godzin, niekiedy redukcja ta ma miejsce w środę lub czwartek.

Dwa duże związki angielskie zjednoczonych maszynistów i zjednoczonych cieśli mają przytem w Wiktorji swe filje, kierujące się zasadami metropolii, mianowicie: udzielają wsparć robotnikom niezajętym i chorym, dają odszkodowania w razie nieszczęśliwych wypadków, ubezpieczenia na starość lub w razie śmierci i t. d. Podobną organizację posiada związek zjednoczonych górników australijskich. Wogóle zaś podobnego rodzaju rozszerzenia celów nie znają organizacje australijskie. Znaczącym bardzo dla ruchu australijskiego jest 1882 rok. Od 30 prawie lat zjednoczyli się najemnicy kolonii w celu zapewnienia sobie odpowiedniego ograniczenia czasu pracy i zwiększenia płacy. Lecz najemnicy ani razu jeszcze nie rozpoczęli do tego czasu próby organizacji. Po wprowadzeniu cła ochronnego powstało mnóstwo fabryk, zatrudniających kobiety i młode dziewczyny, których płace coraz bardziej z czasem zmniejszały się. Ze smutkiem i żalem widziały, jak ich położenie staje się coraz gorszem. Skarżyły się one powszechnie i głośno, lecz bezskutecznie. Wreszcie, wybuchł strejk w jednym z największych magazynów strojów. Robotnice zwróciły się do jednego z współwłaścicieli firmy, wybitnego członka „Young Men's Christian Association” lecz bez skutku. Wówczas około 100 kobiet i dziewcząt, zajętych w różnych pracowniach ubiorów, udały się razem do Trade Hall z prośbą o pomoc. Krok ten wybornie charakteryzuje zaufanie, z jakim się powszechnie odnoszą masy pracujące do Trades Hall Council, gdy idzie o obronę ich interesów. Trade Hall wzamian za pomoc zażądała, aby robotnice po skończeniu bezrobocia, zjednoczyły się i przyłączyły do Council. Zabrano się energicznie do pomagania im w dążeniu do otrzymania lepszej płacy. Kilkakrotnie miały miejsca publiczne zebrania kobiet, rezultatem zaś ich było założenie „Tailoresses' Union” (związek szwaczek) i ustanowienie sprawiedliwej taksy dla płacy od sztuki. Odwołano się, prócz tego, do związków i publiczności z prośbą o wspieranie strejkujących szwaczek. Prasa poparła to wezwanie w najsympatyczniejszy sposób. Pomoc nie dała na siebie długo czekać, aż nakoniec pracodawcy zgodzili się na wszystkie żądania szwaczek. Był rzemieślniczek od tego czasu znacznie się polepszył.

Otrzymały one reprezentację w Trades Hall Council i sekretarce.

W r. 1886 związki kobiece wystawiły własny gmach zebrania, kosztem 37,000 marek, znany teraz p. n. Female Operatives Hall (Izba robotnic). Należą dziś doń, oprócz Tailoresses' Union jeszcze Associated Female Operatives. Próba założenia Domestic Servants Union (związku sług domowych) rozbiła się o brak energii pomiędzy sługami i z powodu opozycji kantorów stręczących służby. Związki kobiece urządzają często zebrania towarzyskie, które wywierają nader zbawienny wpływ, rozbudzając w kobietach ducha łączności.

Po za Melbournem organizacje robotników rozpowszechnione są po całej Wiktorji. Nabardziej wpływową jest Amalgamated Miner's Association of Australasia, której główne siedlisko znajduje się w Creswick, miście bardzo ważnem dla kopalń złota. Stowarzyszenie to rozgałęzionem jest po wszystkich kolonijach Australii łącznie z Nową Zelandyją i obejmuje prawie wszystkich górników, zajętych w kopalniach złota, srebra, węgla i cynku. Liczy ono 42 filje, razem 14,697 członków (w r. 1888). Filja w Nowo-Południowej Walii obejmuje 15 łóż górników New-Castle'u, najważniejszego okręgu węglowego. Liczba jej członków wynosi 4,100. Kasa filii 30 czerwca 1888r. posiadała 392,940 m. W ciągu roku wydała łoże dla swych członków 251,800 m., mianowicie 120,620 marek odszkodowania z powodu nieszczęśliwych wypadków, 38,040 m. na rzecz rodzin pozostałych po umarłych członkach, 65,800 m. na strejki. Na cele szpitalne wydano w tym czasie 26,400 m. Ze pomimo to ubezpieczenie nie stanowi właściwego celu stowarzyszenia, na to wskazuje jasno sprawozdanie roczne, przypominające członkom, że głównem zadaniem stowarzyszenia jest obrona tych praw i przywilejów, które się służnie należą pracy. O stowarzyszeniach innych, ze względu na brak miejsca, mówić nie będziemy. Zauważymy tylko, że w całej Australii, we wszystkich główniejszych miastach i portach tworzą się wciąż jeszcze Trades Unions na wzór istniejących w Wiktorji i że „święto ośmiogodzinne” ustaliło się już prawie wszędzie. Wreszcie dodać winniśmy, że kwestyja połączenia wszystkich „unionów” jest już tylko kwestyją krótkiego czasu. Wytworzeniu się powszechnego olbrzymiego związku „unionów” oddają się teraz w Australii z całą energiją wszystkie prawie stowarzyszenia. Już teraz

obejmują one co najmniej piątą część robotników, podczas, gdy w Anglii, tej kolebce „unionów”, należy do nich zaledwie dziesiąta część robotników.

Adolf Wars.

Z dziedziny etnografii.

I.

Wisła, tom IV, Warszawa 1890, str. 986 w 8-ce.

O istnieniu i zawartości Wisły wiedzą czytelnicy z luźnych wzmianek, umieszczanych w Głosie w miarę ukazywania się jej zeszytów; dla wyrobienia jednak gruntowniejszego pojęcia o tem wydawnictwie dobrze będzie objąć okiem roczny jego dorobek, zawarty w cytowanym tomie. W ciągu czterech lat istnienia Wisła znacznie wzrosła i udoskonaliła się. Zrazu zbiór luźnych artykułów, wypuszczanych w małych zeszytach, zaraz w drugim roku, po objęciu kierunku przez J. Karłowicza, przeobraziła się w organ etnograficzny i w tej postaci do dziś dodatnio się rozwija. W trzech ostatnich tomach 1/3 swojej objętości poświęciła na pośredniczenie między nauką, której jest organem, a garstką czytelników bądź pracujących na polu etnografii, bądź interesujących się jej rozwojem. Widzimy więc w Wisle, prócz prac oryginalnych, bogaty dział poszukiwań naukowych, w których redakcyja nawiązuje nie czynnej łączności z czytelnikami, i dział biblijografii, gdzie ci zaczerpnąć mogą wiadomości o najnowszych zdobyczach nauki, ogłoszonych w książkach i czasopismach.

W rzędzie kilkudziesięciu artykułów, w tekście czasopisma, większość przypada na systematykę, zestawianie i gromadzenie materiałów do ludoznawstwa miejscowego. Z autorów obcych i wogóle z prac, w całości lub w części poświęconych plemonom innym, spotykamy w tomie IV F. S. Kraussa (redaktora czasopisma Am-Ur-Quell) „Gonitwy ślubne u Słowian południowych”, tegoż „Powrót umarłych na świat”, Sumcowa M. „Starodawne sposoby przyrządzania chleba”, Al. P. „Zestawienie klechdy polskiej z czeremiską i wociacką”. Do artykułów podręcznikowych należy przekład pracy Lubora Niderle, dla Wisły przez au-

w kamizelce i jadł spokojnie szynkę, krajając scyzorykiem. Doktor poczuł w sobie napływ ducha demokracji, powiedział półhrabi coś cierpkiego i nie składał więcej wizyt w okolicy.

Pozostał tedy do wymiany myśli ksiądz proboszcz i sędzia. Obcować jednak zbyt często z plebanem — markotnie jest nieco, — sędzia zaś był człowiekiem, mówiącym rzeczy, których zupełnie nie można było pojąć, — pozostała tedy właściwie samotność. Aby uniknąć złych następstw absolutnego przebywania z samym sobą, usiłował zbliżyć się do przyrody, odzyskać spokój, harmoniję wewnętrzzną ducha, poczucie siły i odwagi, odnalazłszy te żelazne ogniwa, jakie człowieka zespalają z przyrodą. Żadnych jednak ogniw żelaznych nie odnalazł, pomimo że błąkał się po polach, docierał nawet do poręb w lesie i zagrzął pewnego razu w bagnie na pastwisku.

Płaski krajobraz otaczało zewsząd sinawe pasmo lasu. Bliżej na wydmuchach szarego piasku rosły samotne chojaki, a naokół ciągnęły się, nie wiedząc do kogo należące, zagony. Pastwiska, porośnięte „kozicą” i żółtawymi trawami, umierającami przedwcześnie, jakby do rozwoju gałęzek zieleni w ich pędach zabrakło światła — stanowiły jedyne upiększenie Obrzydłówka. Zdawało się, że słońce oświeca to pustkowie po to jedynie, aby okazać jego bezpłodność, nagość i pośepność.

Brzegiem drogi, okrytej brudnym piaskiem, porytej wybojami i wygrodzoną ruinami płotu włókił się codziennie biedny doktor z parasolem... Droga ta nie prowadziła, zdawało się, do żadnych osad ludzkich, rozszczepiała się bowiem na pastwisku na kilkanaście ście-

żek i ginęła śród kretowisk. Zjawiała się znowu dopiero na szczycie widny piaszczystej w postaci dwu trójkątnych wyłobień w piasku i szła w las karłowatych sosenek.

Jakaś niecierpliwa złość ogarniała doktora, gdy patrzył na ten krajobraz i pożerała mu spokój nieokreślona obawa...

Lata upływały. Zarządzono z inicjatywy ks. plebana zgodę między aptekarzem i doktorem, gdy skonstatowano dodatnie zjawisko „ochłonięcia” tego ostatniego. Antagoniści zaczęli wspólnie odtąd „orać” w wincie, choć doktor z obrzydzeniem zawsze patrzył na farmaceutę. Stopniowo i obrzydzenie przeszło. Zaczął chodzić z wizytą do aptekarza i emablować jego żonę. Pewnego razu przeraził się nawet wynikiem analizy własnego serca, która okazała, że zdolnym jest do platonicznego rozmówienia się w pani aptekarszowej, damie tęgę umysłowo, jak siekiera do rąbania cukru, gotowej dać się ukrzyżować za przekonanie zupełnie nawet bezzasadne, że jest wiotką, powabną i niebezpieczną i opowiadającej z przedziwnym zapałem a bez przerwy o grzechach głównych jej pokojówki. Słuchał dr. Paweł całemi godzinami wymowy pani Anieli, zachowując na obliczu uśmiech mdło uprzejmy, taki właśnie uśmiech, jaki oglądać można na ustach młodzieńca, emablującego grono pięknych dam w chwili, gdy mu najstraszliwiej dokuczają hemoroidy.

Do czynów bohaterskich w zakresie demokracji w Obrzydłówku pojęć, choćby w imię znośniejszego przepędzania czasu, nie był już zdolnym. Za żadną cenę nie byłby składał wizyt rzeźnikom, jak to zamierzał swojego czasu; jeżeli mógł rozmawiać, to jedynie z ludźmi, będącymi w jakiej takiej kul-

Wówczas to nie tylko już energija uległa zniszczeniu, — znikło i poszanowanie dla wszelkiej myśli szerszej. Z wielkich widnokręgów, ledwie dających się zmierzyć rozmarzonymi oczyma, został widnokrąg tak dalece mały, że można go było zakreślić końcem modnego kamaszka. Na rozbrzmiewające po artykułach szukanie „prawdy jasnego promienia i nowych, nieodkrytych dróg” zapatrywał się w początkach umierania z goryczą, żalem, zawiścią, następnie — z ostrożnością człowieka, mającego pewien zasób doświadczenia, następnie z niedowierzaniem, wkrótce potem z półuśmiechem, potem ze zdecydowanym lekceważeniem, a koniec końców nie zapatrywał się wcale, ponieważ było mu najzupełniej wszystko jedno. Leczył według wskazówek rutyny, praktykę jaką taką wyrobić sobie zdołał, przywykł jakoś do Obrzydłówka, do samotności, do nudy nawet, do prosiat pieczonych i nie kwapił się bynajmniej do ogniśka życia umysłowego.

Zasadą, do której, niby do wspólnego mianownika, sprowadzały się czyny i myśli doktora Obareckiego stała się ta: — dawajcie pieniędzy i wynoście się...

A jednak w chwili, gdy siedział po powrocie z imienia ks. proboszcza, zajęty bębnieniem palcami po stole — „metafizyka” opanowywała go z dawną siłą. Już podczas jakiejś szesnastej godziny wintowej doktor czuł się niedobrze. Wywołał to aptekarz znowu, który zaczął ni z tego ni z owego studyjować historję powszechną Cezara Cantu (w przekładzie Leona Rogalskiego) i, wyrobiwszy sobie bardzo radykalny pogląd na działalność Aleksandra VI-go, w bezwyznaniowość jakoby popadł.

(d. o. n.)

tora dopełnionej, p. t. „Szkic dziejów antropologii”, w której spotykamy się z nazwiskami: Majera, Kopernickiego, Dudrewicza, Zaborowskiego, Hryncewicza, Ossowskiego, Zawiszy, S. Radlińskiego i innych.

„Systematyka pieśni ludu polskiego” zajął się jeszcze w tomie poprzednim Jan Karłowicz. Autor posługuje się metodą i systematyką Childa w jego wielkim dziele *The English and Scottish popular Ballads*; rozpatrując po kolei motywy poszczególnych ballad obcych, tworzy nowe nieznanne Childowi poralele, oraz pomnaża ilość odmian polskich i słowiańskich, do których nie mało materiału dostarczają rozrzucone po kraju czytelnicy *Wisły*. Z tych 17 zestawionych dotychczas wątków przeważnie znanych u nas utworów widzimy, jak pieśń ludowa wiąże niemal świat cały wspólnością nietylko uczuć i pojęć pierwotnych, lecz i tematów. Nie znajdują tu potwierdzenia spotykane poglądy o swojskiej samorodności dumek, jak pogląd Z. Glogera, który źródło znanej dumki „Stała nam się nowina, pani pana zabiła” chciał znaleźć w dziejach kryminalistyki miejscowej. Jest niemałą *Wisły* zasługą, że potrafiła pobudzić do pracy na polu ludoznawstwa krajowego wielu ludzi (w znacznej części dotąd nieznanymi w literaturze) i nadała ich pracy kierunek naukowy.

W łonie inteligencji naszej bieży oddawna dość szeroki prąd sympatii dla ludu; „sympatyja” chyba najogólniej określa nierówne fale uczuć, o których mówię. Jedni pracują dla ludu świadomie, według programu społecznego, drudzy odruchowo pragną podać ludowi rękę z wysokości, żeby go podnieść, inni znowu poprzestają na lornetowaniu tegoż ludu; w miarę tego jedni się krwawią, drudzy łzawią, a inni zachwycają barwami.

Nie można powiedzieć, że etnografia powstała w prostej linii z tego stosunku do ludu; lecz nauka znajduje w tym prądzie siłę żywiołową, która będąc umiejętnie spożytkowaną, skierowaną na koło nauki, przynosi jej niemałą korzyść.

Dziejowo ten objaw społeczny zbliżania się do ludu tak zespala się z rozwojem ludoznawstwa umiejętnego, że Pypin w swej „Historii etnografii ruskiej” znaczną część dzieła poświęca charakterystyce dziejów sympatii do ludu i ruchu demokratycznego. U nas znajomość ludu rosła dotąd drogą naturalną; na niwie etnografii pracowali przygodnie tylko ci, których z ludem samo życie wiązało lub coś ku niemu nęciło. Byli to ludzie przeważnie dwóch z pośród wyżej wspomnianych kategorii: sentymentalni i estetycy. Czas, by do ludoznawstwa wzięła się trzecia kategoria, ludzie, pojmujący życie ludowe w jego interesach najżywoźniejszych. Tych parę słów wypadło nam powiedzieć dla tego, że przystępujemy do przejżenia dorobku IV t. *Wisły* w zbiorach surowego materiału, opisach ludności, miejsc, stosunków i t. d., dokonywanych dla użytku nauki właśnie przez nie-specjalistów, przynajmniej w większej części. Wiele z tych prac nosi charakter krajoznawczy; parę widzimy specjalnie krajoznawstwu poświęconych.

Wisła rozszerzyła przedewszystkiem zakres badania. I dziś jeszcze utyskują etnografowie (jak w tych czasach I. Kopernicki w *Wisła*) na jednostronność naszych zbieraczy, rzadko wybiegających po za obręb pieśni ludowej; lecz na ogół nieporównanie więcej dziedzin ludowego ducha porusza nasza etnografia dziś niż przed laty kilkunastu. *Wisła* ogłosiła przedewszystkiem (w I t.) „Przewodnik do zbierania właściwości ludowych (R. Zawilińskiego); był to kwestyjaryjusz treściwy, niekompletny, lecz znacznie rozszerzył widnokrąg ludoznawczy. Po nim nastąpiły inne, specjalne, mniej lub więcej szczegółowe, że wymienię „Kwestyjaryjusz dla zbierających zwyczajne prawne u ludu” i „Sobótkę”. Przewodniki te, łącznie z powtarzanymi w każdym zeszytach *Wisły* poszukiwaniami w zakres oddzielnych kwestyj, wpłynęły silnie na zakrój podejmowanych obecnie opisów etnograficznych i przyczynków.

Z studyjów i ogólnych charakterystyk grup ludności i miejsc na pierwszym miejscu spotykamy w t. IV *Wisły* pracę E. Orzeszkowej „Ludzie i kwiaty nad Niemnem”. Za punkt wyjścia w seryi artykułów, pod tym tytułem pomieszczanych, wzięła znakomita autorka

przyrodę roślinną w jej zetknięciu się z ludźmi. Prócz przyczynków do botanicznego słownictwa ludowego, mamy tu żywcem z natury porwane typy ludzi nadniemieńskich. Powie ktoś, że traktowanie beletrystyczne nie odpowiada metodzie naukowej. Zapewne, ale złoto, znalezione w bryle ziemi, dajmy na to, na spacerze i w tej bryle podane do mennicy jest złotem tak dobrze, jak wydobyte według zasad górnictwa. Zamiast preparatu daje autorka kawałek prawdziwego życia. Dostyc mieć talent tej miary, aby forma nie obowiązywała. Część artykułu poświęciła Orzeszkowa polemice z p. K. Mątyśsem, który w roku zeszłym niefortunnie scharakteryzował „Chłopskie serce”, w przypuszczeniu, że go chłop niema zgola. Z. Gloger nie był, co prawda, uprawniony do używania formy beletrystycznej w opisie podróży „Po falach Bugu”, choć i w jego pogadance można znaleźć wiele ciekawych rzeczy.

K. Smoleńcówna zajęła się „Chłopskim dzieckiem”. Jest to dobrze pomyślane i wykonane studyum nad wychowaniem dziecka chłopskiego od niemowlęctwa. Jako pendent do tego artykułu przypomniamy pracę pióra L. S. drukowaną w *Głosie* (1889, nr. 6) p. t. „Dzieci wiejskie”. K. Smoleńcówna należy właśnie do młodego grona etnografów, przez *Wisła* do pracy powołanych, i dodatnio między nimi się wyróżnia. K. Skrzyńska dała opis wsi „Krynicy w Tomaszowskim”. Zarzucić można tej pracy chyba nie dość umiejętny plan charakterystyki. Umieszczenie np. charakterystyki społecznych stosunków i moralności ludu między opisem jego mieszkań a ubioru nadaje obrazowi cechę beładności. Jest to winą dotychczasowego kwestyjaryjusza, że nie dość wyraźnie oddzielił dwie nadające się do oddzielnych badań, choć w pewnej części zależne od siebie dziedziny: społeczną stronę życia ludowego od antropologiczno-etnograficznego bytu ludności.

Wypadałoby się dłużej zatrzymać na gruntownej i obszernej pracy R. Łazęgi p. t. „Ziemia chełmińsko-michałowska” ze względu na rolę, jaką ta dzielnica kraju odgrywa w walce z żywiołem germańskim. Autor dokonał obrachunku sił, po naszej stronie istniejących, nader drobniawo. Plan jego pracy był następujący: warunki topograficzne, statystyka ludności, jej ruch, własność gruntowa, ludność pod względem cielesnym i umysłowo moralnym, walka narodowościowa. Niema tu gołosłowności, każdy rys w tej charakterystyce został udowodniony przez cyfrowe obliczenie w tablicach, przepełniających pracę.

Ten sam przedmiot porusza A. J. Parczewski w artykule p. t. „Germanizacja powiatu Olawskiego”. O stosunkach etnograficznych na Mazurach pruskich pisał już poprzednio w *Wisła* J. Sembrzycki. W tym tomie spotykamy dalszy ciąg jego „Przyczynków do charakterystyki Mazurów pruskich”, ich zwyczajów i pieśni. Z opisów ogólnych obok pracy poprzedniej mamy artykuł S. Zielińskiego „Lud Basiowiecki” (Galicyja, okolice Stryja), grzeszący brakiem wszelkiej metody w traktowaniu materiału. Układanie charakterystyki danej ludności z jej śpiewek sposobem mozaikowym, przez spajanie ich własnymi wątpliwą wartości uwagami prowadzi do absurdu. Czyż można poważnie traktować takie ustępy:

„Idealnym jednak „całego kochania” jest „panycz” i krakowiak — tym bowiem zawodzą:

Krakowiaczek ci ja,
W Krakowie się rodził i t. d.

a później:

„Siedziała na rowie,
Jechali panowie;
Popraw se, Maryniu,
Wianeczek na głowie”.

Z ludem galicyjskim spotykamy się jeszcze w pracy d-ra W. Kosińskiego „Zapiski etnograficzne, zebrane w Jurkowie i okolicy” (pow. brzeski). Są to materiały przeważnie do mitologii. Z prac opisowych w tymże zeszycie dała *Wisła* urywek ze studyjum, przeznaczonego do *Biblioteki Wisły* p. t. „Lud fabryczny w Pabjanicach”, w opracowaniu znanego czytelnikom *Głosu* p. J. Lorentowicza. W końcu należy wspomnieć o szkicowym obrazie życia ludu miejskiego na Starem-Mieście w Warszawie p. t. „Pani majstrowa z Podwala” F.

Reinsteina. Po za wyliczonemi tutaj pracami dała *Wisła* w omawianym tomie dwadzieścia kilka artykułów, podnoszących specjalne kwestyje etnograficzne w formie przyczynków i zestawień bądź z materiałow świeżo zebranych, bądź w wyciągach z ksiąg starych. Nie sądzę, by wyliczanie tych artykułów przyniosło pożytek, na streszczanie zaś nie mamy miejsca.

Kwestyje specjalnie etnograficzne nie interesują inteligentnego człowieka wtedy, jeżeli nie chce w nie wczytać się. Często dawało mi się spotykać uśmiech pobłażliwy na widok zbieranych przez pp. Dowgirda i Wolskiego w Muzeum etnograficznym (na Bagateli) pisanek wielkanocnych. W tym roku jeszcze spotkałem w jednym z pism prowincjonalnych krytyka, który, dając łaskawie wskazówki *Wisła*, co ona ma umieszczać, wyraził politowanie nad jej zaślepieniem co do pisanek, których „przecież żaden rozsądny człowiek na seryjo brać nie może”. W artykule „Pisanki” T. Dowgird zdał w tymże tomie sprawę ze swych badań nad pisankami. Pokazuje się, że doszedł on z nich do poważnych wniosków co do rozpowszechniania się geograficznego ornamentyki ludowej, farbiarstwa ludowego i zwyczajów z jajkami związanych. Poszukiwania te nie są jeszcze zamknięte i z pewnością zadziwią sceptyków bogactwem odkryć.

To samo powiedzieć można o każdym badaniu poszczególnem w dziedzinie etnografii, umiejętnie prowadzonym.

Dział poszukiwań *Wisły* zawiera 17 rubryk, z których wyliczę pytania w kwestyjach ogólniejszych: Lecznictwo ludowe; nasz obszar etnograficzny; chata; przysłowia; zwyczaje prawne; żydzi na prowincji; w sprawie czytelnictwa ludowego. To ostatnie powstało z powodu drukowanego w *Głosie* pod tymże tytułem kwestyjaryjusza, a powtórnego w *Wisła* w całości. Materiały, których, mówiąc nawiasem, czytelnicy *Głosu* opieszale dostarczają, zbierane są przez autorów kwestyjaryjusza do opracowania jednorazowego; w rzeczonyj rubryce *Wisła* podaje wykaz nadesłanych materiałow wraz z podziękowaniem komu należą.

W tych dniach rozesała *Wisła* Zeszyt okazowy z odezwą do ogółu o poparcie wydawnictwa. Obok dokładnego spisu prac dokonanych w ciągu cztero-letniego istnienia pisma, podano w tym zeszycie wyjątki z artykułów i ilustracje, w celu tem dokładniejszego zobrazowania nie tylko treści, lecz charakteru i formy umieszczanych w *Wisła* artykułów. Odezwa kończy się temi słowy:

„Krytyka tak krajowa, jak zagraniczna łaskawie i pochlebnie witała dotychczas usiłowania nasze. Grono współpracowników pisma naszego ciągle wzrasta; rękopisów, nadesłanych i przyrzeczonych, mamy więcej, niż dotychczasowa objętość pisma pomieścić może. Pragnęlibyśmy rozszerzyć ramy wydawnictwa, zwiększyć ilość rysunków i melodj, przedrukować cenne a wyczerpane prace dawniejsze. Znowu powtórzmy słowa zapowiedzi naszej z początku roku 1888:

Lecz na to potrzeba nam współczucia i poparcia światłego ogółu. Nie posiadając towarzystw naukowych odpowiedniego kierunku, ani mecenasów, liczymy jedynie i liczyć musimy na własne siły. Odwołujemy się więc znowu do powszechności naszej, prosząc o dzielne podtrzymywanie w ciągu pierwszych lat istnienia *Wisły*, dopóki nie wyłobi ona sobie stałego i głębokiego łozyska.

Pragnieniom i potrzebom naszym stają na zawadzie, niestety, warunki materyjalne. Życzliwości krytyki i gotowości współpracowników wcale nie odpowiada poparcie w prenumeracie. *Wisła* ani w połowie nie zwraca dotąd wykładanych na nią kosztów.

Odwołujemy się przeto do ogółu naszego z zapytaniem: Czy życzy sobie dalszego wydawania *Wisły*? Czy uznaje potrzebę dalszego jej istnienia? Czy zechce poprzeć czynem to uznanie? Od tego bowiem zależeć będzie nie tylko dalszy rozwój, ale i istnienie czasopisma naszego”.

Z. W.

Katarynki zagraniczne.

(Dokończenie).

Tymczasem jak się okazuje, te „pagórki leśne te łaki zielone, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnięte, te pola malowane zbożem rozmaitem, wylęcane pszenicą, posrebrzane żytem... i zielone przy drogach wierzby i topole” i wiele innych rzeczy są dla p. C. Jellenty „terra incognita”. Nie dziwnego: wędrując za granicą po galeriach, kopiąc się w podręcznikach lub „pierwszych lepszych sprawozdawczych artykułach dziennikarskich” możnaby się bardzo wiele nauczyć, nie przeczę, ale nie można nauczyć się odczuwać piękna w swojskich obrazach, znać tej mnogości i swoistości barw, kształtów, wyrazu, jakie one posiadają, urobić siebie tak, aby one przemawiały do duszy innym językiem, aniżeli alpejskie szczyty, szwajcarskie jeziora lub północne fiordy. Wówczas tylko można ocenić, do jakiego stopnia Mickiewicz tę dziwną mowę i jej indywidualność rozumiał, jak bardzo włączył się i ukochał tę przyrodę naszą i jak genialnie—patrzac nawet tylko z punktu widzenia malarskiego—przedstawić ją umiał i jak dobrze Witkiewicz tę stronę jego geniuszu pochwylił i scharakteryzować potrafił. Niemcy swego Goethego, ba nawet mniejszych, daleko mniejszych swych wieszczów rozbierają ze śmieszna często drobizgowskością, nie dla nich nie jest ani małym ani nie nowym, co może przyczynić się do charakterystyki ich twórczości. Tu u p. Witkiewicza spotykamy się z nadzwyczajną trafnością charakterystyką jednej z najważniejszych stron twórczości naszego wieszca, a p. C. Jellenta twierdzi, że rozbiór ten „dziś przydać się może tylko świętej prostocie”. Pan C. Jellenta zna teorię sztuki, ale to nie wystarcza: jeżeli się jej stosować nie potrafi, można sobie nos rozbić stykając się z jakimś konkretnym faktem: mówię „sobie” bo w danym wypadku ani Mickiewicz *zapożyczający się instynktownie*, rozumie się, u ówczesnego malarstwa w kwestyi opisywania np. początku nocy, z jego trudnościami malarskimi, z którymi zaledwie nowsze malarstwo (np. Chełmoński) uporać się może, ani Witkiewicz, wykazujący jako prawdziwy krytyk tę stronę talentu Mickiewicza, nie ponieśli w danym wypadku żadnego szwanku.

Każdy widzi w danym fakcie, czy zjawisku tylko to, co jego organizacja psychiczna zdolna jest przejąć odczuć i zrozumieć. Witkiewicz chciał wykazać, że Mickiewicz był genialnym kolorystą, p. C. Jellenta dostrzegł w pracy jego chęć dowiedzenia jakiejś teoretycznej prawdy psychologiczno-estetycznej, niby tego „instynktowego zapożyczenia się poezji u malarstwa”.

Przypomina mi to fakt bardzo analogiczny co do rodzaju. Raz na wsi siedzieliśmy w altanie ja i mój kolega—właściciel wioski i patrzyliśmy na sad, który był rzeczywiście bardzo piękny i bardzo przypominał mickiewiczowski opis „z drzewami owocnymi, zasadzonymi w rzędy... spodem grędy. Tu kapusta... tam wysmukły bób, płaczący stronki w marchwi zielonej warkoczu” etc. etc. Było to wszystko bardzo ładne. Przy nas siedział kupiec zbożowy, żydek Pinkus Tłusty i właśnie byliśmy w trakcie przedwstępnej „ogólnej” rozmowy, która poprzedzała interes. Pinkus Tłusty, gładząc brodę, odezwał się do mego towarzysza z miłym uśmiechem:

— To ładny kawałek grunt. On musi panu dobre procenty dawać, ja sam, żebym prowadził interes od owoce, dałbym panu za same wiszni ze 120 rubli. Ale na co W. pan każe szacze te makówki, to żaden interes jest?

To tylko widział Pinkus Tłusty w całym obrazie.

P. Cezary Jellenta tak samo wziął całą książkę, jak pojął jeden jej rozdział o Mickiewiczu: mianowicie szukał w niej teorii, chciał aby to była estetyka teoretyczna i z punktu widzenia tych wymagań sądził i potępił. Dla niego Witkiewicz jest echem zdobywcy najnowszych w zakresie dobrego smaku” jego książka „jest galerijką dobrych sylwetek, po których przyjemnie i z korzyścią rozglądać się może każdy, niewtajemniczony bliżej w sprawę dłuta i pędza” walkę Witkiewicza z artystyczną krytyką warszawską nazywa „taraskonadą”, każe mu pamiętać, „że to, co on zwiastuje, zwiastują od pół wieku wszystkie wróble na wszyst-

kich dachach oświeconej Europy”, mówi, że w książce „niema ani słówka, którego by, dajmy na to, nie było u E. Verona” że „artyści (nasi) nie wyczytają tam dla siebie nic nowego” etc.

Przyjrzyjmy się, co w książce Witkiewicza zachwyca p. Cezarego Jellenty: „co do nas, mówi, to już sam fakt, że zrozumiął on, wyróżnił i wybornie scharakteryzował Böcklina, geniusza najczystszej wody, nie pozwala nam czynić p. Witkiewicza całkiem odpowiedzialnym, za wszelkie formułki etc.”. Także chwali go, że objaśnia czytelnikom niektóre kwestyje tyczące się techniki malarskiej; jeżeli pominiemy częste komplementy, które zwykle zaraz w następnych wierszach znajdują zaprzeczenie, pozostanie jeszcze jedna pochwała: że w książce Witkiewicza jest „sporo poglądów zbiorowych, składających się na to, że sylwetki swojskie, ogółem wzięte, tworzą nie najgorsze zwierciadło całego naszego ruchu artystycznego z ostatnich lat dwudziestu w jego punktach wytycznych.”

Boże kochany jakie to charakterystyczne dla wszelkiego rodzaju... katarynek (zagranicznych).

Nasze stosunki, jak to już wzmiankowaliśmy, są nadto skomplikowane; złożoność ta odbiła się i na naszej sztuce. Tymczasem ten, kto czytał dawniejsze krytyki literackie w stylu np. „idealne pojęcie realnej rodzajowości nadaje mu ton moralny, który, łącząc się harmonijnie z technicznym materyjalnym tonem malowidła podnosi je nad powszedniość rutynicznej faktury” ten doszedł do przekonania, że ani taka krytyka ani tacy krytycy nie mieli ani dość sił, ani dość nauki dla osądzenia, i analizy utworów naszej sztuki. Witkiewicz sprawił im „lanie”, wykazał nicosć tej frazeologicznej krytyki, przelewającej, z pustego w próżne i to jest jego wielka zasługa. Zasługi tej p. C. J. nie odczuwa, a może zbyt odczuwa (niewiem, czy p. C. Jellenta był wówczas krytykiem, kiedy Witkiewicz pisał swe krytyki). Dla niego jest wystarczającym, że o nowych estetycznych poglądach „śpiewają w Europie wszystkie wróble” nawet wówczas, gdyby u nas panowało o tem grobowe milczenie nawet we wszystkowiedzących kurjerkach.

Witkiewicz w swych krytykach zrobił część tego, czego nieudolna nasza krytyka nietylko nie rozjaśniła, ale co bardziej zamąciła. W głębokich, choć nie zawsze zupełnie wykończonych, analizach naszych wybitniejszych malarzy jak np. Matejki, Semiradzkiego, Chełmońskiego, Gieryskich, porzucał z nich szczególnie z pierwszego i drugiego całą masę głupich obrazków, wstążeczek i paciorków, którymi ich obwieszała nasza krytyka; wykazał istotę ich talentu, rzeczywiste zalety i wady, zarazem wykazując ignorancję krytyków; ale to p. C. J. nie zachwyca; natomiast w zupełności przebacza wszystkie wady p. W. za to, że ocenił geniusz Böcklina,—malarza, mało znanego w samych Niemczech, o którego nazwisku mało kto u nas wiedział, nim go autor wyskrobał, a jeszcze mniejsza ilość ludzi widziała jego obrazy. Czyż nie dziwno: wykazanie strony malarskiej geniuszu Mickiewicza, wyznaczenie odpowiedniego stanowiska całej plejadzie naszych malarzy i ich dziełom — wszystko to dla p. C. J. jest bądź stare i nieważne, bądź „echem zagranicy” bądź „galerijką sylwetek” podczas gdy Böcklin tak poruszył serce p. C. J. iż skłonił go do szlachetnego przebaczenia.

Witkiewicz, pisząc książkę, miał na celu, że tak powiem, *przerobienie* materyjału faktycznego, dostarczonego przez nasze społeczeństwo, podług metod i teoryj, znanych i wyrobionych zagranicą do której jako ilustracja faktyczną wybrał sobie naszych malarzy, chociaż łatwiej mógłby korzystać z gotowego już materyjału z zagranicy. Tymczasem o teorię wcale mu nie chodziło; szło mu o naszych malarzy, o ich dzieła, o panujące w prasie naszej pojęcia i sady estetyczne, które chciał i z gruba do porządku doprowadzić i w tem jego zasługa. Teoryje rozsiał tu i owdzie po całej książce, zatracając o nie tylko o tyle, o ile mu to było potrzebne do krytycznej oceny danego malarza, lub jednego z sądów naszej artystycznej krytyki. Zaletą zaś jest umysł—że potrafił zużytkować, zastosować nabytą teorię do zjawisk miejscowych, że przytem odznaczył się samodzielnością analizy i sądu, czego o wszelkiego rodzaju „katarynkach” powiedzieć

nie można. Jest to jego zasługa, bo niemożemy jeszcze, niestety, powiedzieć, że badanie naszego społeczeństwa, faktów i objawów naszego życia było jego obowiązkiem: tego za nas nikt nie robi, jeżeli sami robić nie będziemy.

Takie „przerobienie” naszego społeczeństwa, nawet gdyby nic nie dorzuciło do teoretycznej wiedzy, gdyby było tylko prostą przeróbką podług starych, znanych metod, to jeszcze nie przestałoby dla nas mieć pierwszorzędne znaczenia, bo było by niczem więcej, jak poznaniam nas samych.

Tymczasem dla takich „zagraniczników” kwestyje te nie są warte zastanowienia: zagranica rozstrzygnęła już dawno, że perspektywa powietrzna jest to harmonija barw, „że szkoła np. malarska powinna tak przygotować swoich uczniów, żeby między nimi a światem zewnętrznym nie stawała żadna ciasna, z góry przyjęta formuła, rutyna i odrębność, nie pochodząca z indywidualnych, szczerych porywów artystycznego temperamentu” i t. d. więc pocóż dowodzić, że większość obrazu Matejki, wbrew ogólnym sądom, niema tej perspektywy powietrznej, że szkoła krakowska wypuszcza karykatury zmanierowane i t. d.: będzie to podług p. C. Jellenty powtarzaniem starej, znanej śpiewki zwiastowaniem „tego, co od pół wieku zwiastują wszystkie wróble na wszystkich dachach oświeconej Europy”.

Tu znówu ta sama historia i aby odczuć znaczenie książki Witkiewicza, trzeba być mniej „katarynką” a już jeżeli nie może być inaczej należało by choć trochę uwzględnić i swojskie melodyje, aby instrument stał się więcej przystosowanym do gustów i potrzeb miejscowych.

F. Jabłczyński.

Listy emigranta.

Dajemy poniżej dwa listy emigranta, b. stróża, który, pomimo czynionych mu przedstawień, w marcu do Brazylii wyjechał. Autor tych listów otarł się nieco w świecie, służył w wojsku, lubił czytać i wszystkie wiadomości o Brazylii, jakie się w prasie pojawiały, zbierał, ale nie bardzo im dowierzał. Listy zamieszczamy bez żadnych zmian, poprawiwszy tylko pisownię, zawierają bowiem sporo ciekawych a charakterystycznych uwag:

I.

Bremen, d. 24 marca 1891 r.

Mam honor zawiadomić szanownego pana, iż po opuszczeniu warszawskich bruków, jadąc koleją, nie spotykałem wychodźców, oprócz dwóch rodzin emigrujących i to trwało aż do stacyi Jabłonowo, gdzie zrobiła się bardzo wielka różnica w wychodźtwie, iż pociąg zabrał z Jabłonowa 6 wagonów pruskich podanych, którzy byli zaopatrzeni w szyf karty Nort Ameryka.

Wszyscy ci emigranci dawali się słyszeć rozmową w polskim języku i cieszyli się bardzo przyszłością, iż tego brat, owego—szwagier od kilku lat zamieszkuje w Ameryce i prowadzi im się dobrze. I tak każda stacyja pomnażała się liczbą emigrantów, w wagonie rozpoczęła się scena, przepelnione wagony przedstawiały się zupełnie jakby szpitale, krzyk dzieci bez granic.

Ale to wszystko jeszcze nic, aż dopiero w Charlottenburgu można się było przyjrzeć tak strasznej emigracji a przeważnie żydzi zalegali pod mostem, tak, że ani przejść nie było można; ale mnie to bardzo zastanowiło, że taka nędza tam wyjeżdża, jakiej jeszcze pomiędzy żydami nie widziałem.

W Bremie ruch emigrantów nie tak wielki, bo wszystko wali na Hamburg, ale i tu daje się widzieć spore partyje „odprawiających” (?) się do portu i to naród zgromadzony z rozmaitych okolic.

Można się zastanowić, bo kiedym usłyszał, to aż po mnie mróz poszedł, jak mnie powiedział chłop Tomasz Zaremba ze wsi Wysokie, powiatu ostrowskiego, co tak się zawziął do wychodźstwa, że przejście granicy kosztowało go dwa dni przesiedzenia w lesie i zapłacił żydowi gotówką 210 rs.

Ja z moją rodziną, Bogu Najwyższemu dzięki, jestem zdrow.

II.

Antwerpen Belgija, dnia 28 marca 1891 r.

Donoszę szanownemu panu, iż z łaski Pana Boga jestem zdrów razem z moją rodziną. Podróż morską nastąpiła dnia 25 marca o godzinie 1-ej po południu i trwała do godziny 5-ej rano do dnia 27.

W czasie podróży wypadków śmierci znacznych nie było, jedno dziecko półroczne umarło w 3-ej klasie a na to miejsce w 1-ej klasie urodziło się dzieci dwoje. W ciągu jazdy z d. 25 na 26 od godziny 11-ej wieczorem do godz. 3-ej po północy okręt fala morska tak miotała, że bardzo często balwany przenosiły bez pokład okrętu.

Choroba morską nastąpiła dość wcześnie, każdy z nas był zajęty. Pomimo wymiotów i zawrotu głowy, każdy wznosił gorące modły do Pana Boga, prosząc o wytrwałość w podróży i o usunięcie niebezpieczeństwa, które groziło każdemu z nas. Każdy był tak przerażony, iż bardzo często dawały się słyszeć głosy rozpacz, że lepiej było raz na dzień zjeść suchy kawałek chleba, aniżeli doznawać takiej podróży, do tego stopnia każdy upadł na duchu, że, zdaje się, radby był zaniechać zamorskiego szczęścia, ale to tak długo trwało, dopóki nie minęła burza. Po przybyciu parowca do portu i po odzyskaniu sił fizycznych jednocześnie odzyskał i siły ducha. W piątek każdy miał wolność wyjść do miasta, gdyż każdy dążył do kościoła, w którym na pierwszy rzut oka spostrzegać się daje wieża, około 300 łokci wysoko w niebo strzelająca.

Około godziny 3-ej wieczorem, skoro każdy powrócił do okrętu, nastąpiły perswazyje i rozmowy rozmaitego *zmysłu*, młodszy dają wymówki starszym, że za ich namową opuścili kraj i udali się w tak przykrą drogę, starsi znów wykładają młodszy, że każdy kto się zda na wolę Boga nigdzie nie zginie. Inni znów przypominają, że nietylko my podróżujemy, bo i święta rodzina podróżować musiała. Inni znów przypominają, jako rozhułkane balwany morza miotały łodzią świętego Piotra a dla tego za wolą Boga na prośby świętego Piotra fale ustały. Każdy katolik prawowierny nigdy nadziei w Bogu nie traci.

Z nastąpieniem godziny 1-ej po północy narzeczcie zrobiła się na okręcie zupełna grobowa cisza, tylko przyćmione światło naftowych lamp i od czasu do czasu słychać po pokładzie łupanie majtków, strzegących parowca i *skwilenie* małych od piersi dzieci.

Następnego dnia w sobotę wiele osób przygotowało się do spowiedzi. Po śniadaniu znów została okręt wyludniony: kto poszedł do kościoła, kto za sprawunkiem na miasto, a po powrocie nastąpiła znów ta sama scena, jaka się toczyła w dniu ubiegłym, niektórzy byli w zamiarze powrócić koleją do domu, ale odstąpili od zamiaru. Jeden tylko syn Tomasza Zaremby, o którym wspominałem w pierwszym liście, ten już był drapnął z okrętu z gołą głową, ale go ojciec i matka złapali. Narzekali tylko, że się ów syn imieniem Teofil, zakochał w jednej dziewczce a matka owej narzeczonej była czarownicą i jemu musiała coś zrobić.

Na okręcie znajduje się około 300 rodzin, oprócz kawalerów i panien, a powiększej części czechy,

Pomiędzy młodzieżą bezżenną można dostrzec wzajemnych miłostek bardzo wiele, a o zmroku w każdym zakątku okrętu pełno bywa całusów.

Tu w Belgii słyszymy, że w Brazylii są powodzenia bardzo dobre, tylko najgorsza podróż.

Tomasz Pawłowski.

praca i jej warunki sprowadzają w liczbie wielu różnych przykrych rzeczy, np. tak zwane choroby zawodowe. Jednakże spotykają się jeszcze dziś wypadki—bardzo wprawdzie rzadkie—że praca nie tylko uszlachetnia, ale *uarystokratyzuje*, że się tak wyrazimy.

Ale dzięki jedynie temu, tak przynajmniej utrzymuje *Kuryjer Poranny*, tegoroczna majówka udała się wspaniale, była urządzona „wzorowo i wykwiśnie”, z bramami z kwiatów, korowodem z kwiatami, wachlarzami z kwiatów etc. W Jabłonie jadących w ordynku z damami w brekach cyklistów przyjął p. hr. Aug. Potocki, poczem panowie podali damom ręce, uprzejmie rozmawiając o bigosie, który następnie wspólnie spożyli mieli. Tu jednak oczom zdumionych rycerzy ukazała się „forteca, która się niby chwiała”. — Co, damom bronią dostępu do bigosu?! wykrzyknęto, już chciano zdobywać, „aż nagle mury jej (fortecy) z hukiem i ogniem (bengalskim) runęły, a oczom zdobywców przedstawiła się polanka z..... „kotłami bigosu”, dokąd damy tryumfalnie i w ordynku zostały zaprowadzone.

Pantomina była rzeczywiście bardzo wspaniała i trafiająca swem symbolicznym znaczeniem w arystokratyczne dążności Towarzystwa. Dawniej rycerze, na stałą okutych rumakach zdobywali zamki, fortece, dziś z postępem czasu ciż rycerze na rumakach z czystej stali, zdobywają fortece wprawdzie przy pomocy ogni sztucznych i chodzi tu właściwie tylko o bigos, ale zawsze tradycyi staje się zadość, dzięki właśnie delikatnemu, wyrobionemu smakowi i pomysłowości sz. wice-prezesa.

Wszystko to bardzo piękne, chciałbym jednak chociaż domyślić się, z czego pp. cyklisci, oraz zarząd tak się bardzo cieszą i dla tych oznak radości wydają tyle pieniędzy, że aż niektórzy zamożni nawet członkowie musieli się „dla zasady” cofnąć od udziału w radosnym obchodzie, ze względu na słoną cenę?

Pomijając już inne cele, o których chyba należałoby pamiętać, klub cyklistów nie posiada ani porządnego toru, ani dobrych maszyn do nauki, ani podręczników sportowych etc., w ogóle za mało *serjo* traktuje sam sport, a właśnie zajmowanie się sportem o ile wiem, stanowi jedną z najwybitniejszych znamion *arystokratyzacji* towarzystwa sportowych, przynajmniej co się tyczy Anglii. Można twierdzić na pewno, że żaden z ich członków nie wpadłby na pomysł urządzenia takiej fortecy z bigosem i bengalskimi ogniami, która się „niby chwiała”.

* * *

(p.) Korespondenci *Kuryjera Warszawskiego* i *Słowa* donoszą o oburzającym nadużyciu, jakiego dopuściły się władze niemieckie względem emigrantów z Królestwa. Około 200 zaopatrzonych w paszporty legalne od władz miejscowych wyjechało do Bremenu i tam dopominali się o bezpłatne przewiezienie do Brazylii. Gdy im oświadczone, iż rząd brazylijski już przewozu nie opłaca, poczęli się dopominać gwałtownie, i miasta żadną miarą opuścić nie chcieli. Policja bremeńska użyła więc fortelu, który już kilkakrotnie na polskich wychodźcach praktykowała ze skutkiem. Kazala ich zapisywać niby to na okręty i brać pieniądze, kto je miał, a następnie siadać do wozów kolejowych, niby to dla dostania się do portu. Zebranemu w ten sposób pieniądze opłacono podróż koleją aż do Torunia i w tę stronę też z ludźmi ruszono. Kiedy dowieziono ich do Szpandawy i tam przesiąść kazano do innego pociągu, poznali, co się z nimi dzieje, i zaprotestowali. Policja w Szpandawie postanowiła utrzymać ich w kupie i wywieźć dalej, a gdy opierać się temu poczęli, zastawiając się paszportami, przywołała wojsko, trzymała pod strażą do 5-ej z południa i zaciągnawszy przymusowo do wozów, wyprawiła do Torunia. Tu wychodźcy wysłali znowu do Bremenu dwóch z pomiędzy siebie dla sprawdzenia faktu. Kiedy jeden z nich wrócił i przywiózł smutną wieść, emigranci, zmuszeni do tego przez policję niemiecką, wrócili do kraju. W Płocku ojcowie rodzin podali do władzy miejscowej zbiorową skargę na nadużycia władz niemieckich i żądają zwrotu podstępnie wydanych im pieniędzy.

* * *

— (o). P. Fr. Olszewski redaktor *Kuryjera warszawskiego* nadesłał nam poniższe sprostowanie.

„W imię uczciwości dziennikarskiej nupraszam o zamieszczenie w *Głosie* niniejszych słów kilku.

W n—rze 23 Pańskiego tygodnika w rubryce „Głosy” czytam dwa zarzuty, przeciwko mojemu dziennikowi wymierzone, a jak świadczą dokumenty—zgoła bezzasadne.

1-o *Głos* mówi, „Kurjer Warszawski” wydrukował depezę o powrocie z Rio de Janeiro 232 wychodźców, dodając, iż czytelnicy „dziwili się tej nadzwyczajnej hojności redakcyi” i dalej: „niema kwestyi, że to jest błąd, poprostu p. Glinka lub ks. Chełmicki, którzy, jak zresztą opowiada pierwszy z nich, mieli ułożoną listę wcześniej, a przynajmniej wiedzieli ilu wychodźców przysłał do kraju—szczegóło te zakomunikowali „Kurjerowi” listownie, co najwyżej zaś ks. Chełmicki dał w kilku wyrazach znać, że emigranci d. 22 wyjeżdżają.”

Na dowód, iż cały powyższy ustęp jest prostą szykaną, załączony telegram z Rio de Janeiro, nr. 783, w oryginale. Zawiera on, według adnotacyi wydanej urzędownie, wyrazów 70, podanych w znakach cyfrowych, co do których umówiłem się z wyjeżdżającymi do Brazylii ks. Chełmickim i p. Glinką. Telegram ten nie kosztuje wprawdzie, jak ogłasza *Głos* rs. 500, wynosi jednak sumę rs. 239 kop. 20.

W chwili, gdym depezę tę otrzymał, nie wiedziałem, iż p. Glinka Brazylię opuszcza i dla tego jemu autorstwo telegramu przypisałem, podczas gdy wysłał go rzeczywiście ks. Chełmicki. Szczegóło to wszakże dla autentyczności depezy zgoła bez znaczenia.

2-o W dalszym ustępie *Głos* w ten sam sposób kwestyonuje autentyczność depezy o odnalezieniu skarbu w Rio de Janeiro i uwagi swoje kończy: „zaiste, należy najmniej błagować, bo przecie ludzie nietylko *Kuryjer* czytają i na stacyi telegraficznej fakt sprawdzić mogą”.

Skoro „fakt sprawdzić mogą”, niechże redakcyja *Głosu* raczy pofatygować się do stacyi telegraficznej i przejrzeć depezę N. 518 z d. 3 b. m., a przekona się, że depeza w numerze naszym z d. 4 b. m. podaną została w *Kuryjerze Warszawskim*, zgodnie z oryginalnym telegramem, w nocy otrzymanym.

Z szacunkiem
F. Olszewski.

Musimy tu zaznaczyć, że zakomunikowany nam telegram zawiera 4 wyrazy (wraz z adresem) i 33 znaki cyfrowe, (zapewne podwójnie liczone) Cyfry te, jak się można domyśleć, oznaczają numery porządkowe powiatów i liczbę wychodźców z każdego powiatu. Tymczasem telegram, podany w *Kuryjerze* liczył z górą 100 wyrazów i zawierał szczegóło, jakich w depezy nie ma. Nie my zresztą pierwsi zwróciliśmy uwagę na to, że p. Glinka telegramu wysłać nie mógł, uczynił to daleko wcześniej, ale mniej wyraźnie, *Kuryjer Codzienny*.

Co się tyczy telegramu o znalezionym w Brazylii skarbie, wierzymy zapewnieniu p. Olszewskiego, nie sprawdzając nawet, czy telegram był z Rio Janeiro, czy z Petersburga, od Agencji północnej. W każdym razie faktem jest, że tę wiadomość, którą *Kuryjer* w czwartkowym numerze (z d. 4 czerwca) w rubryce depezy podaje, *Nowosti* np. i *Nowoje Wremia* zamieściły w numerze poniedziałkowym (z d. 1 czerwca) z rozmaitymi szczegółami. Trudno przypuścić, ażeby w redakcyi *Kuryjera* ani ruskich, ani francuzkich pism nikt nie czytał. Jeżeli więc nawet korespondent telegraficznie starał wiadomość przysłać, to nie należało podawać jej w depezy, bo to jest niewątpliwie *blaga*, acz niewinna — i nikt inaczej tego nie nazwie.

* * *

— (p.) Zamieszkały w Buenos-Ayres p. S. Barszczewski dosyć gorliwie zajmuje się sprawą emigracyi polskiej. Nie ma kwestyi, że chociażby w Brazylii były najgorsze warunki, a ofiarność nasza przerastała dotychczasową, wszystkich emigrantów nie sprowadzimy do

GŁOSY.

Wycieczka cyklistów. — Zawód emigrantów. — Sprostowanie „*Kuryjera Warszawskiego*.” — O Emigracyi brazylijskiej.

(J) Jeszcze nianki nam śpiewały, że praca uszlachetnia. Myślały pewno o tej arkadyjskiej pracy dawno minionych czasów, bo dziś

kraju, a, prawdę powiedziawszy, nie mamy po co sprowadzać z powrotem na głód i nędzę. Mają więc rację ci, co pragną raczej zwrócić emigrantów brazylijskich do tych miejscowości, gdzie znajdują oni korzystniejsze warunki osadnictwa, a więc, przede wszystkim do Argentyny. Topograficzne i klimatyczne warunki są tu o wiele przyjaźniejsze, ale jakie są warunki ekonomiczne i prawne? P. Barszczewski w pewnej mierze sprawę tę wyjaśnia w *Kuryjerze Warszawskim*:

„Cała pomoc rządu ogranicza się do dania im 8 dniowego utrzymania bezpłatnego w domu emigrantów i bezpłatnego przejazdu koleją do miejscowości, jaką sobie obiorą. Ziemi zarząd nie daje, gdyż, jak już wyżej wspominałem, wszystkie obszary wolne zostały rozebrane przez Towarzystwa lub osoby prywatne. Utworzono z nich tak zwane „centry rolnicze”, mające na celu kolonizację gruntów posiadanych. Bardzo mało jednak posiadaczy tych koncesyj wypełnia zadanie swoje uczciwie. Prawie wszyscy mają na celu eksploatację sił roboczych bez żadnego skrupułu. Przytem brak komunikacji, czyniący w wielu miejscowościach prawie niemożliwym zbyt produktów rolniczych, i niedbałość władz, zniechęcają wielu do tego stopnia, że niema prawie tygodnia, by całe partyje rolników nie wracały z różnych kolonij do Buenos Ayres, prosząc o ułatwienie powrotu do kraju.

Wobec powyższego okazuje się potrzeba utworzenia instytucji, któreby, nie namawiając do emigracji, lecz uznawszy ją jako zło konieczne, zaopiekowały się tłumami, wędrującymi na ślepo pod wpływem namów agentów, mających tylko zysk osobisty na widoku, i mogły kierować je w okolice, przedstawiające największą szansę pomyślnego rozwoju. Instytucje takie powinny być jednak przede wszystkim samodzielne, gdyż, jeszcze raz powtarzam, na republikę liczyć nie można; dla samodzielnego zaś działania niezbędnym jest kapitał i to nie mały.

W sprawie wychodźstwa udałem się do d-ra Alsiny, dyrektora departamentu emigracji. Zwróciłem uwagę jego na masę ludu, mrące w Brazylii, przedstawiając korzyść, jaką odniosłaby Argentyna przez zasilenie szczupłej swej ludności rolniczej.

— Bardzo chętnie przyjmujemy tych ludzi — odrzekł — ale czy wszyscy oni są rolnikami?

— Nie, rzekłem, — jest pomiędzy nimi wielu rzemieślników.

— *Las des artisans, pas des artisans* — zawołał. — Widzisz pan, ilu ich włóczy się po ulicach bez pracy i chleba. Przytem wogóle my ludzi bez pieniędzy nie potrzebujemy.

Godzinę trwała nasza rozmowa. Dla powzięcia bliższych informacji radzono mi udać się do departamentu ziem i kolonij (*tierras y colonias*), ztamtąd do departamentu rolnictwa. I tu, i tam przyjęto mnie bardzo grzecznie. Grzeczność jest jedną z zalet argentyńczyka. Rozkładaliśmy mapy, rozmawialiśmy obszernie o emigracji — panowie ci pogawędkę bardzo lubią — zewsząd jednak wyniosłem przekonanie, że rząd republiki radby pomagać, ale platonicznie, urzędnicy zaś robić, ale dla siebie.

Mamy jednak nadzieję, że ekspedycja, która zwiędzić ma Brazylię i Argentynę, sprawę dokładnie zbada. Szkoda tylko, że szczupłość funduszy zmusza jej uczestników do ograniczenia zakresu podróży. Współpracownik nasz, p. A. Hempel już 26 maja wyjechał z Genui do Brazylii, dr. Siemiradzki, z pozostałymi, wkrótce też wyruszy.

Z KRAJU.

Powrót emigrantów. — Dane urzędowe o emigracji w kwietniu. — Taktyka prasy. — Niepożądani imigranci.

W tych dniach powinni przybyć lub może już przybyli do kraju emigranci, sprowadzeni w liczbie 232 za pośrednictwem p. Glinki i ks. Chełmińskiego. Oprócz nich powrócą jeszcze później z Brazylii wysłani. Zapewne filantropowie, którzy pomysł ten powzięli i wykonali, pomyśleli również o tem, co ludzie ci, zrujnowani materyjalnie a niekiedy i osłabieni fizycznie, po powrocie do kraju robić będą i z kąd wezmą środki do życia. Spodziewać się należy, że o tem myślano, bo inaczej powrót niefortunnych wychodźców wywołać może wręcz przeciwnie skutki. Zdaje się, że większość prasy i publiczności ludzi się w tym względzie. Sądźmy, że opowiadania tych bie-

daków, którzy w Brazylii nędzy zaznali, ostudzą od razu gorączkę emigracyjną. Wątpić o tem można, bo jak nawet najbardziej zachowawcze pisma przyznają, chłopci niewierzą przestrogom panów i wogóle inteligencji, nie wyłączając księży i posadzają wszystkich, że świadomie kłamają. Czy ta nieufność zniknie zupełnie, kiedy w Brazylii zaczną im opowiadać naoczni świadkowie chłopci, którzy tam byli? Chyba nie: ten i ów rozsądniejszy czy spokojniejszy uwierzy, jak i dotychczas wierzył więcej przestrogom, książkom lub listom, aniżeli zapewnieniom agentów. Ale te żywioty, z których rekrutują się wychodźcy, wszyscy ci obalamuceni — po swojemu, po chłopsku rozumować będą, że tym ludziom, których panowie sprowadzili, wierzyć nie trzeba. Dzisiaj już krążą pogłoski, że panowie przekupili niektórych „brazylijanów”, żeby ludzi odmawiali od emigracji. Pamiętajmy o tem, że już od grudnia r. z. przychodzą w znacznej liczbie listy do kraju, opisujące w straszny sposób niedole brazylijską, listy przez chłopów i do chłopów pisane, a jednak przestrogi nie znajdują wiary. Ma się rozumieć tylko, chłodniejsi i rozsądniejsi chłopci, co się do niepewnej wędrowki za morze niezbyt kwapią — opowiadaniem powróconych uwierzą.

Niedawno w okolicach Biłgoraja policja przytrzymała partyję wychodźców, złożoną z 19 osób a powracającą z Galicji. Ludzie ci, rodem z powiatu krasnostawskiego, przedostali się przez granicę, ale dowiedziawszy się w Galicji różnych strasznych rzeczy o Brazylii, wrócili i, wstydząc się pokazać we wsi rodzinnej, błakali się po lasach.

Niewątpliwie dotychczasowe moralne środki przeciwdziałania emigracji i głosy prasy, książeczki ludowe, opowiadania osób inteligentnych i t. d. wywarły pewien skutek.

Silniej jeszcze oddziaływały zakazy administracyjne i ściślejsze pilnowanie granicy. Emigracja nie ustała jednak, ale tylko zmniejszyła się, chociaż nie ma tygodnia, żeby policja nie zatrzymywała znaczniejszych partyj wychodźców. Już w czerwcu przyprowadzono do Lublina 40 wędrowników, którzy usiłowali przemknąć się przez kordon. Ciekawe dane z urzędowego źródła zamieszcza *Warszawski Dniownik*. Okazuje się, że w kwietniu, kiedy już wiadano, że w Bremie nie dają bezpłatnych biletów, a o Brazylii chodziły smutne wieści, kiedy prasa zapewniała, iż ruch emigracyjny znacznie się zmniejszył, opuściło kraj co najmniej 1,000 osób, nie licząc zwróconych z drogi.

„Z gub. kaliskiej wyjechało 76 rodzin, złożonych z 294-u osób. Najwięcej było emigrantów z powiatów: konińskiego (85 osób), kolskiego (66 osób) i łęczyckiego (55 osób). W innych powiatach tej guberni ruchu emigracyjnego nie zauważono. — Z gub. kieleckiej wyemigrowały tylko dwie osoby: mężczyzna, który pozostawił żonę z dwojgiem dzieci, i kobieta, która pozostawiła męża i pięcioro dzieci, oboje rodem z m. Pińczowa. — Szczególną uwagę zwraca na siebie liczba osób, które wyemigrowały z pow. gostyńskiego gub. warszawskiej, a mianowicie: 130 rodzin, złożonych z 453 osób, przyczem w tej liczbie nie było ani jednego starozakonnego. Trudno sobie wytłómaczyć przyczynę tak znacznego ruchu, tymbardziej, że w niektórych powiatach sąsiednich w z. m. nikt nie porzucił ojczyzny. — O liczbie emigrantów z gub. lubelskiej w ciągu kwietnia r. b. niema dotychczas wiadomości; nie ulega jednak wątpliwości, że ruch emigracyjny z dniem każdym tam się powiększa. Dnia 8 i 9 maja w pow. janowskim gub. lubelskiej, straż pograniczna zatrzymała 16 osób, dnia 12 z. m. 24 osoby, dnia 14 i 15 14 osób, wreszcie dnia 18 — 44 osoby, razem 98 osób. Wszyscy zamierzali przejść granicę potajemnie, bez dokumentów odpowiednich. Dnia 15 z. m. przybyło z zagranicy na stację Granica 9 osób rodem z pow. lubartowskiego, gub. lubelskiej, wracających do kraju po niepomyślnej próbie dostania się do Ameryki”.

Znaczna jest liczba takich, co się już w drogę wybrali, sprzedawszy całą chudobę — tych trudno, nie podobna prawie do pozostania w kraju skłonić. Jeżeli przedostaną się za granicę, a w Bremie dowiedzą się, że bezpłatnie biletu przejazdu nie otrzymają, pojedą do Ameryki północnej lub gdzieindziej. Zresztą, zakaz przyjmowania emi-

grantów dotyczy podobno tylko portu bremeńskiego, a w każdym razie nie z własnej woli rządu brazylijskiego został wydany, ale pod naciskiem rządu niemieckiego. Chłopi jednak twierdzą, zapewne poinformowani przez agentów, że można darmo bilet dostać, trzeba tylko pojechać przez Hamburg a najlepiej przez Antwepiję. Trudno wiedzieć, o ile jest to prawdą, należałoby jednak fakt sprawdzić. Zresztą wiadomość o zakazie nie jest dokładną, widziałem bowiem wysłany z Antwepii list emigranta, który wsiadł w Bremie na okręt w tydzień po tem, jak pisma nasze ogłosiły, że wychodźców polskich nie przyjmują. Wogóle wszelkie wiadomości, dotyczące emigracji, bez względu na ich treść podawać należy po ścisłym sprawdzeniu, każda bowiem niedokładność lub przesada, nie mówiąc już o *pis fraus*, łatwo może być sprawdzoną, wykazanie zaś jej podkopuje wiarę w przestrogi prasy.

Błędem jest powszechnie dziś pod wpływem ostatnich wypadków wygłaszane zdanie, że chłop drukowanemu słowu nie wierzy. Chłop istotnie nie ufa ludziom, należącym do inteligencji, ale księżce, pismu, wogóle wszystkiemu co „nadrukowane”, jeżeli nie widzi zbyt jawnego fałszu, albo bijącej w oczy nieznanomości rzeczy, zazwyczaj wierzy ślepo. Pisma ludowe i pisarze ludowi sami są w znacznej mierze winni, że chłop dziś nie bardzo przestrogi ich słucha. Jeżeli, jak słusznie zauważył w *Gazecie Warszawskiej* p. Slepowron, nawet pisma szlacheckie nie rozumieją interesów warstwy ziemiańskiej i nie chcą ich bronić, a przemawiają wciąż do jakichś wszechobywateli kraju czy społeczeństwa, którzy ni by nie mają żadnych potrzeb własnych i dążeń klasowych, to tymbardziej powiedzieć to można o prasie i literaturze ludowej. Pisma ludowe nie myślą wcale o specjalnych interesach chłopskich i nie próbują nawet już nie bronić ich, ale wyjaśniać, natomiast bardzo „zacnie” i ogólnikowo mówią swym czytelnikom o obowiązkach moralnych.

Ale w danym wypadku do podkopania wiary w drukowane słowo przyczyniła się nie właściwa, powiem lekkomyślna, żeby nie powiedzieć po prostu głupia i szkodliwa, taktyka, jakiej od początku chwyciła się znaczna większość prasy. Krzyk, jaki podniosły *Kuryjer*, w tym samym bodaj stopniu przyczynił się do propagandy emigracji, co namowy agentów. Opowiadano o Brazylii cuda-dziwy, bez żadnej znajomości przedmiotu, straszono i zaklinano wychodźców albo wydrwiwano ich, nie zastanowiwszy się nad tem, w jaki sposób działać należy. Inteligencja wiejska albo z pogardą patrzyła na chłopską głupotę, albo traciła głowę i nie wiedziała, co począć. Obywatele ziemscy zwracali się nieraz do władz z dziwnymi, niepodobnymi do wykonania żądaniem, jeden np. z gub. kaliskiej proponował, żeby postawić we wsi sotnię kozaków, którzy by pilnowali chłopów i nie dopuszczali do wychodźstwa. Tymczasem już w początkach ruchu emigracyjnego widocznym było, że chłopci inteligencji nie wierzą. Do obalamuconych należało więc przemawiać spokojnie i rozsądnie, nie odradzać lub zachęcać, ale przedstawić przedmiotowo warunki pobytu w Brazylii, przeskody, jakie koloniści tam napotkają i t. d.

Takim dokładnym, szczegółowym informacjom chłop, nie zrażony wówczas jeszcze do słowa drukowanego, prędzejby uwierzył, zwłaszcza gdyby jednocześnie szczerze i wyraźnie zaznaczono przyczyny wychodźstwa i wskazał: w jaki sposób choć cokolwiek byt swój w kraju poprawić można. O informacje nie trudno było, bo całemi garściami czerpać je można z gruntownych prac francuzkich i niemieckich o Brazylii, jak np. Kärgera, Langego, Levasseur'a, Müldnera i t. d. Ale do takiej działalności publicyści, którzy pisali np. że w Brazylii mówią po... hiszpańsku, kiedy chłop nawet wiedział, że „brazylijany i portugiezy — to wszystko jedno” ma się rozumieć, nie byli zdolni. Mogli jednak milczeć i krzykactwem swem nie przeszkadzać działalności innych, którzy coś nie coś, ale w każdym razie więcej i od zwyczajnych i od specjalnych informatorów o Brazylii wiedzieli.

Dosyć już jednak o emigracji, która niby oczyszcza miejsce dla niepożądanego imigranta, jaka nas czeka. Wskutek niedawnych rozpo-

rzędzeń rządowych masa żydostwa, wydano z gubernii wewnętrznych, wybiera się do nas w odziedziny, a raczej na stały pobyt. W Warszawie już się ukazały pierwsze pikietki tych niepożądanych gości, a w guberniach zachodnich rozsiadła się cała armija, która do Królestwa licząc oddziały wysyłać będzie.

Doszę powiedzieć, że z Moskwy wydano 15—20,000, prawie taką samą partyję, jak donoszą pisma ruskie, wyprawiającą z Libawy, a mniejsze z Charkowa, Kijowa i innych miast. Dodać zaś trzeba, iż obywateli tych dlatego właśnie wydano, że chociaż figurowali w spisie rzemieślników, trudnili się pokątnie a wyłącznie prawie faktorstwem i lichwą. Z 32 zegarmistrzów żydów w Moskwie 2 tylko zajmowało się swem rzemiosłem, 30 zaś—lichwą. Otóż do tych żydów, jakich w dostatecznej chyba liczbie mamy szczęście posiadać, przybędzie jeszcze ze 100,000 nadetatowych, obrotowych i sprawnych. Przybytek to, od którego, wbrew przysłowiu, może głowa zabołec. Jeżeli ubytek kilkudziesięciu tysięcy ludności rolniczej, której posiadamy stosunkowo więcej aniżeli inne kraje, budzi poważne obawy, to przybytek ludności handlarskiej, której 2 razy więcej stosunkowo, aniżeli Anglija mamy, jest dotkliwą klęską. Czy nie warto by więc pofolgować nieco zajęciu się emigrantami do Brazylii a pomyśleć: jakby pozbyć się tych niepożądanych imigrantów.

J. Nieborski.

Listy z nad Niewiaży.

IX.

Chłopskie stosunki rodzinne.

Przy sposobności prostujemy omyłki, które się wkra- dły do tegoż artykułu w Nr. 20 *Głosu*; na str. 236 w szpalcie 3-ciej w wierszu 13-tym od dołu i in. zamiast *puł* ma być *pur*; w tejże szpalcie w wierszu 6-tym od dołu zamiast *traszkowski* ma być *traszkuński*.

Surowość, cechująca wzajemne stosunki dzieci i rodziców, niemniej dobitnie występuje w stosunkach rodzinnych dalszych krewnych i powinowatych blizkich; umowa i tu wysuwa się na pierwszy plan, a złamanie jej *zawsze* prowadzi do odszkodowania stosownego. Można stanowczo twierdzić, że bodaj ani jeden ojczym, ani jedna macocha inaczej nie może zabezpieczyć swych praw majątkowych wobec pasierbów lub pasierbic, jeno tylko drogą sądowną. Ojczym skarży się, że pasierb bije go, krzywdzi i wypędza z chaty, powód więc żąda wynagrodzenia za 20-letni zarząd mieniem pasierba. Wyrok włościańskiego sądu subockiego (1870 r. N. 3), nakazał pasierbowi zapłacić 100 rs., oraz dać dwie krowy, kozę i wieprza. Najczęściej atoli są krzywdzone macochy; zwykle uprzedzenia względem których podziela nawet prawo zwyczajowe i same sądy, występujące tylko w nadzwyczajnych razach w ich obronie; tak np. worniński sąd włościański kazał oćwiczyć pasierba za obicie macochy (wyrok z r. 1871, Nr. 71). Pasierb macochę z dziećmi morzył głodem i nareszcie wypędził z chaty, ale zapłacił za to 25 rs. macosze, którą sąd zmusił do zrzeczenia się wszelkich pretensyj (wyr. subockiego sądu wł. 1890-go roku Nr. 41). Analogiczny wypadek zdarzył się w sąsiedniej kupiskiej włości; sąd wydał wyrok podobny, tylko wysokość powództwa macochy zniżył znacznie (wyrok kupiskiego sądu wł. rok 1878-my, Nr. 3).

Ale z biednymi macochami obchodzą się jeszcze gorzej: niejaki pasierb nawet chatkę zwałił, w której mieszkała jego stara macocha, ale sąd kazał dać jej na mieszkanie *chlew*, oceniając go na 26 rubli, a na utrzymanie — dawać rocznie pur żyta i na sól 50 k. oraz sędzię pur ziemniaków (wyrok towiańskiego sądu wł. 1890 roku N. 29).

Taż sama zasada charakteryzuje wzajemne stosunki braci i siostr: brudne, drobne sobkowsko góruje przedewszystkiem, — ono też jest źródłem nieskończonych procesów, kłótni, zwad, bijatyk, a niekiedy i zbrodni. W stosunkach braterskich waleczą dwie zasady: stara, nakazująca ojcowski szacunek starszemu bra-

tu, oraz nowsza, uznająca równość braci. Sądy przechylają się to na tę, to na ome stronę, ale wśród ludu stara zasada liczy, bodaj, więcej stronników, niż nowa. Włościański sąd worniński (wyrok z roku 1886-go, Nr. 66) kazał oćwiczyć brata młodszego za zniewagę starszego, podkreślając w wyroku tę okoliczność. Gospodarz za wyderkę zrzekł się całego gospodarstwa, podzieliwszy je na równo pomiędzy synów, ale starszy samowolnie zabrał u młodszego 1 1/2 dzies. gruntu; sąd potwierdził równy podział (wyrok wieprzowskiego sądu włościańskiego 1889 r. N. 2); tak samo postąpił sąd traszkuński (wyrok z r. 1874, Nr. 21). W traszkuńskiej włości starszy syn zmarłego gospodarza zabrał całe mienie ojcowskie, krzywdząc rodzoną matkę i rodzeństwo. Matka zapozwała go do sądu, który nakazał równy podział, uskuteczniwszy nadzwyczajną zrzeczością i przezornością: nawet szynkę, ważącą 20 f., podzielono proporcjonalnie, zarówno jak starą skórę (wyrok traszkuńskiego sądu włościańskiego). Oto lepszy przykład. Niejaki Jakimas skarży swego starszego brata; na sądzie wyjaśnia się, że powód służy 7 lat bratu, nie otrzymując za tę służbę nawet odzieży, oraz „ze mu brat nie pozwala ożenić się i wypędza z chaty, chociaż on służył zań w wojsku“. Sąd kazał pozwanemu zapłacić 70 rubli odszkodowania, oraz zobowiązać nie wypędzać powoda z chaty i nie przeszkadzać mu w żeniactwie (wyrok kupiskiego sądu włościańskiego r. 1878, N. 13).

Wogóle bracia nigdy nie mieszkają razem, uprawiając wspólnie zagon ojcowski, a zawsze dzielią go. Nawet nie umieją oni korzystać razem z drzew owocowych, rosnących w sadybie wspólnej: jeden sprzedaje drugiemu prawo na nie za 16 rubli, a lipkę rabie sam, za co płaci bratu rubla (wyrok towiańskiego sądu włośc. 1890 r., N. 32).

Często bracia korzystają z nieobecności jednego z pośród nich, by go skrzywdzić; ujmujący się za żołnierzem sąd traszkuński (wyrok 9 z r. 1875) kazał braciom wysiewać rocznie na jego korzyść 16 garnców żyta i t. d. Prawa cywilne siostr zwykle muszą zabezpieczać sądy; szczególnie stosuje się to do udziału w spadku po rodzinie. Bracia Kazimierz i Jerzy Mikienasowie prawują się z matką o wyderkę, z siostrą—o posag; proces toczy się zaraz po śmierci ojca. Włościański sąd towiański postanowił, by bracia do zamężcia siostry dawali jej corocznie po 20 funtów lnu, oraz nakazał im wypłacić 75 rubli posagu, a w razie niedotrzymania umowy—10 proc. sumy posagowej tytułem kary (wyrok towiańskiego sądu włośc. 1890, N. 2; analogiczny wyrok znajduje się pod N. 25). Zdarsza się niekiedy, że siostrą przyrodną po ojcu odmawia się nawet utrzymania, chociażby one nie były zdolne do pracy; przytaczam przykład.

W kupiskiej włości pasierb wypędził z chaty macochę razem z córką, swą siostrą przyrodną. Wdowa staje przed sądem i żąda, by brat dał siostrze środki do życia; wyrok (r. 1878, N. 3) nakazał pozwanemu dawać rocznie na utrzymanie siostry po 3 pury żyta i 2 p. jęczmienia, a w posagu dać 50 rs. i krowę. Wogóle często sądy zmuszone są ochraniać prawa wdów i sierot przed łakostwem ich krewnych najbliższych. Stary gospodarz, wdowiec, zrzekł się gospodarstwa, a zamiast wyderki wydzielił sobie 1 i pół dzies. ziemi; ożenił się po raz drugi, ale wkrótce zmarł, pozostawiając syna. Starsi krewni odebrali od chłopca grunty; po ich stronie stanął sąd włościański, ale zjazd komisarzy do spraw włościańskich ten wyrok skasował. (Wyrok wieprzowskiego sądu włośc. r. 1889, N. 38).

Umierając, gospodarz leguje swojej drugiej żonie chatkę i ogród warzywny; pasierb ten legat zabiera samowolnie; sąd stanął po stronie macochy, ale zobowiązał ją pracować na pasierba po dwa dni (w tygodniu?) nie wiadomo jednak w ciągu jakiego okresu czasu (wyrok subockiego sądu włościańskiego 1870 rok N. 8). Dziewierz (szwagier) wypędził z chaty swoją bratową, wdowę, wraz z synem; pokrzywdzona domaga się wyderki i 30 rs. „za jej część konia“ (za jeja czast' łoszadi); sąd nakazał powódce mieszkać razem z braćmi jej męża, ale zobowiązał ich utrzymywać wyłącznie dla bratowej 2 krowy, 2 owce, 2 kury i

gęś, tudzież zapłacić 30 rub. „za jej część konia“ (wyrok towiańskiego sądu włośc. 1886, N. 13). Wogóle u naszych chłopów apetyt na ziemię oraz drobne sknerstwo są do tyle rozwinęte, że wobec nich słabną wszelkie inne uczucia i popędy, lub nawet względy religijne i tradycyje, chociaż u nas grają one jeszcze wielką rolę. W życiu ludu spotykamy się ze zjawiskami, przenoszącymi nas w czasy Nestora, gdy „wzosta rod na rod“. Na małą skalę zdarza się to i teraz; przytaczam parę przykładów.

Działo się na granicy powiatu telszewskiego w parafii kołtyniańskiej. Spór powstał o ziemię. Obie strony zawezwały sąd o walkę. Zwycięzcy spustoszyli terytorjum zwyciężonych „jak Niemcy“ podług przysłowia ludowego: porabali okna, drzwi, podłogi, meble, zniszczyli piece, poobalali płoty i parkany, rozbili naczynia, powycinali drzewa owocowe, pojmany kobiety i dzieci oćwiczyli agrestem do półśmierci, a w zakończeniu... puścili swoje świnię na ziemniaki zwyciężonych (wyrok kołtyniańskiego sądu włośc. r. 1888, Nr. 118). Na południu gubernii takie walki nie są tak zacięte i krwawe. W rogowskiej włości rodzina Borowskich napadła na rodzinę Aldunasów. Borowscy zwyciężyli: Aldunasów „samowolnie obili“, poobalali płoty, powybijali szyby, skaleczyli świnię i wycięli 34 drzewa. Sąd tym napadzie uznał wzajemną bijatykę i skazał mężczyzn na 2 dni robót, a kobietom przebaczył. (Wyrok rogowskiego sądu włośc. r. 1890, N. 67).

Takie napaści spotykają się dość często; w nich zwykle biorą udział krewni, noszący jedno nazwisko, co pozwała poczytywać je za niejakią prawdopodobieństwem za pozostałości ojcowskiego ustroju rodowego.

Ale oto wyrok sądowy, przenoszący nas niemal w czasy matryarchatu. Gospodarz umiera, pozostawiając wdowę i syna; w kilka lat potem kobieta urodziła nieślubne dziecko płci męskiej. Gdy chłopiec podrośł, — to zażądał od swego brata pochodzenia prawnego części mienia matki i ziemi, pozostałym po ojcu jego brata przyrodniego; motyw powództwa—wspólność pochodzenia od jednej matki. Towiański sąd włościański (wyrok r. 1890, Nr. 3) powództwo uznał za słuszne, rozkazując wypłacić jego wartość w wysokości 80 rs. Kończąc ten list, zwracam uwagę na wzrost pieniactwa wśród ludu. Tak worniński sąd włościański rozstrzygnął w roku 1872—16 spraw, w 1885—132, a w 3 lata potem—178! W ciągu ostatnich 5 lat w powiecie wilkomińskim sądy włościańskie rozstrzygnęły 8,522 spraw cywilnych i 2,615 kryminalnych t. j. na jedną sprawę kryminalną wypada przeszło 3 cywilnych, a w powiecie telszewskim 6, poniewiekim—5 i t. d. ¹⁾

Wogóle lud żmudzki jest bardziej skłonny do pieniactwa, niż litewski.

Jan Witort.

Przegląd społeczny.

Lublin (Kor. „Głosu“). Zapis uczniów do szkoły technicznej kolejowej w Chełmie będzie trwał do 27 sierpnia. Kurs jest trzyletni. Wychowawiec tej szkoły, po odbyciu dwuletniej praktyki na kolei żelaznej, ma pierwszeństwo do otrzymania posady technika drugiego stopnia. Pod względem powinności wojskowej korzysta on także z ulgi klasy trzeciej. W tym roku kandydaci będą przyjmowani tylko do klasy I; przyjmowani być mogą tylko kandydaci w wieku od lat 14—17, wyłącznie poddani ruscy. Obowiązani są oni złożyć świadectwo z ukończenia dwóch klas szkoły powiatowej lub miejskiej, zdać egzamin z języka ruskiego i matematyki w zakresie dwuklasowym i złożyć metrykę urodzenia. Oplata wynosi 10 rubli i musi być wnoszona w dwóch ratach półrocznych.—Miasteczko Końskowole nawiedził w tym tygodniu pożar, który zniszczył 99 domów mieszkalnych i 44 zabudowań, nie licząc domów i budynków, znacznie uszkodzonych. Pożar zaczął się o godzinie 3-ej po-

¹⁾ Niektóre wnioski autora, jako oparte wyłącznie na materyjale sądowym, wydają się nam zbyt jednostronnymi. *Przyp. red.*

południu, lecz o 5-ej dopiero przystąpiono do ratunku po przybyciu na miejsce straży z przyrzadami z Garbowa (o 22 wiorst odległego i studentów (Puław.) Mar...ek.

Z CESARSTWA.

Wilno. (Kor. „Głosu”). Wznowienie kwestyi żydowskiej oraz ostatnie rozporządzenia rządowe względem żydów nieprzyjemnie wywarły na nich wrażenie. Wmieszanie się władzy do sprawy zawierania między żydami małżeństw w celu zapobieżenia szerzącemu się de facto wielożeństwu, powstającemu, naturalnie, na podstawie zwyczajnego geszefciarstwa z posagami, jest bardzo na czasie, chociaż u żydów uważają to za pogwałcenie stosunków religijno-domowych. Krążąca u nas w mieście pogłoska, jakoby żydom mają zabronić mieszkać w pewnych dzielnicach miasta oraz nabywać domy, doprowadza ich do rozpaczki. „Wkrótce chodzić i oddychać powietrzem nie będzie nam wolno mówią niektórzy, optymiści zaś uśmiechają się na to, powiadając, że Bóg Abrahama, Izaaka i Jakoba nigdy nie opuści swego narodu i na dowód tego pokazują numer gazety żydowskiej, w której pomieszczono wiadomość o ofiarowaniu przez barona Hirsza 20 milionów rs. na zakupienie ziemi w Ameryce lub Afryce w celu przesiedlenia tam żydów z gubernij Cesarstwa i Królestwa. Nie popartą żadnymi dowodami wzmiankę o hojnym datku bar. Hirsza opatrzone rozmaitymi komentarzami, z których urosła prawie cała legenda. Opowiadano o większej jeszcze ofierze Rotszyldów, o zakupieniu ziemi w Palestynie i t. d.—słowem ciemniejsza klasa żydów wierzyć poczęła, iż niedługo przyjdzie czas powrotu do „ziemi obiecanej”, a to znaczy że wkrótce też ukaże się oczekiwany mesyjasz. Jesteśmy tak często i tak bezczelnie wyzyskiwani i oszukiwani przez żydów w handlu, że nie możemy nie cieszyć się ze zjawienia się w ostatnich czasach w naszym mieście trzech znaczniejszych chrześcijańskich sklepów z towarami kolonialnymi, a mianowicie Maleckiego, Machwica i A. Zawadzkiego. Jeżeli by nawet który z wymienionych sklepów zbankrutował, byłby to tylko dowód naszej niezadomocności oraz braku dobrych chęci podtrzymania swoich. Przed paru laty młody obywatel i prowizor, p. Rymaszewicz, nabył żydowską aptekę Ginsburga i dzisiaj już zdobył sobie lepszą klientelę, w bieżącym zaś roku p. Ottowicz właściciel apteki na Antokolu, nabył aptekę Zalkinda odstępując swoją p. Galińskiemu; więc mamy już tylko dwie apteki żydowskie—Szyrwinta, Żyrmuńskiego, a de facto trzy, bo p. Chrościński wydzierżawia swoją aptekę żydowi; sądzimy, że nie tak trudno o swoich... Otwarty 3-go maja doroczny jarmark, jest nieco większy, niż w roku ubiegłym. Między innymi sklepami, najbardziej może są potrzebne dwa sklepy z obuwiem warszawskim, gdyż nasi żydowie sprzedają tutaj fuszarską robotę miejscowych szewców, a swych współwyznawców, przedstawiając je jako warszawską. Niedawno zaczęła się wiosna, a już pożar zniszczył m. Jerje w pow. oszmiańskim, miasteczko Radoszkowicze, w pow. Wilejskim, częściowo zaś spaliły się Świąciany (pow. święc.) i Mejszagola w pow. Wileńskim.

Wilno. Sprzedaż majątków po-wittgensteinowskiej, odziedziczonych przez ks. Maryję Hohenlohe, przyniosło dotąd ogółem—jak donosi *Kuryjer Warsz.*—około czterech milionów rubli. Ceny, jak dotąd trzymają się bardzo nisko i jeżeli dalsze transakcje odbywać się będą w tych samych warunkach, wątpić można, iżby po opłaceniu długu bankowego i zaspokojeniu innych należności, z ogólnej masy spadkowej sukcesorom co pozostało. Sprzedaży ulegają tylko dobra, stanowiące własność zmarłego ks. Piotra. Dobra: Bralskie, Sławatyckie i inne, będące własnością księżnej Hohenlohe, pozostaną i nadal w jej posiadaniu. O ile wiadomo, czynią się również starania o wyłączenie ze sprzedaży obowiązkowej majątku Werek, położonego nieopodal Wilna, a który do końca życia był rezydencją księcia, ilekroć ten w kraju przebywał. Miejscowość to, jak wiadomo, prześlizgnęła, przypominająca położeniem swem Szwajcaryję, odznacza się wspaniałym urządzeniem o charakterze w całym tego słowa znaczeniu wielkopańskiej rezydencji. Do Werek, w razie utrzymania się ich w posiadaniu rodziny, przewiezione zostaną i zwłoki księcia Piotra, spoczywające dotąd zagranicą. Wypracowany już nawet podobno został projekt odpowiedniego grobowca, który stylem poważnym i bogactwem należeć będzie do cennych okazów tego rodzaju budownictwa. Księżna Hohenlohe w traktowaniu interesów wykazuje wielkie poszanowanie dla pamięci brata. W każdym wypadku, w którym brak dowodów piśmiennych jakiegokolwiek zobowiązania, kieruje się ona wskazówkami, praktykowanego za życia księcia zwyczaju, nie pomijając z uwagi losu znacznej liczby dzierżawców i oficyalistów, których po przeprowadzeniu sprzedaży położenie o wiele się pogorszy. Nie ulega też wątpliwości, że projekt częściowych emerytur i jednorazowych gratyfikacyj

z chwilą ostatecznej likwidacyi przyjdzie do skutku, choć o wysokości tych bonifikat dziś jeszcze stanowczo nie powiedzieć nie można. Zależnemi one prawdopodobnie będą od rezultatów samej sprzedaży, której termin kończy się dopiero w każdym razie za lat dwa.

Białystok. (Kor. „Głosu”). Miasto nasze i pow. białostocki należą, jak wiadomo, do najbardziej przemysłowych miejscowości gub. grodzieńskiej: z ogólnej sumy jej produkcji na m. Białystok i powiat wypada około 85%. Białystok—liczący do 50,000 ludności, należy do miast najbardziej zżydowionych w kraju północno-zachodnim; żydzi i niemcy—oto główny kontyngens ludności tego centrum przemysłowego. Wszystkie fabryki tutejsze znajdują się na krańcach miasta; w środku miasta mieści się mnóstwo składów hurtowych, agentur, kantorów wekslu i t. p. Ogólna suma produkcji fabryk białostockich wynosi przeszło 3,700,000 rs. Dwie zwłaszcza fabryki tutejsze zasługują na wyróżnienie aksamitu i czapek. Pierwsza z nich zatrudnia do 250 robotnic, wyłącznie niemiec, przeważnie młodych dziewcząt. Fabryka ta produkuje, oprócz właściwego aksamitu, t. z. manchester, plusz i t. p. Jedwab sprowadza z zagranicy; zbyt towaru—głównie w Rosyi. Pomimo, iż fabryka należy do żydów, w ciągu 8-letniego istnienia, zdołała zjednać sobie dobrą reputacyję. Warsztaty w niej są konstrukcyi ulepszonej, uruchomiane za pomocą maszyny o sile 20 koni. Są w niej warsztaty o sześciu „czółenkach”, produkujące od razu sześć pasów aksamitu. Fabryka czapek jest niemniej ciekawą: produkcya jej jest bardzo znaczną.

Bobrujsk. (Kor. „Głosu”). Pożar zniszczył tu przed kilkoma dniami około 60-ciu domów. Straty są bardzo poważne. Pożar się rozpoczął od domu żydowskiego, ubezpieczonego na bardzo wysoką sumę. Przyczyną pożaru, jak wieść niesie, jest podpalenie.

Petersburg. W tym roku po raz pierwszy egzaminy na atestat dojrzałości odbywają się według nowych przepisów, zwracając wskutek tego ogólną na siebie uwagę. Egzamin piśmienny z języków klasycznych zasadza się na tłumaczeniu na ruski, na egzaminach zaś z matematyki wykluczone zostały zadania arytmetyczne. Poprzednio zadania arytmetyczne na egzaminach ostatecznych odznaczały się wielką zawilnością i trudnością, wskutek czego wyższy kurs arytmetyki poświęcony był wyłącznie niemal na odrabianie zadań, teoria zaś była w zaniebaniu. Wykazała to t. zw. „rewizya” profesorów Markowa, Seliwanowa i tegoroczna zmiana nastąpiła właśnie na skutek orzeczenia tych profesorów. — Wiadomość, podana przez *Nowoje Wremia*, że przystąpiono w całej Rosyi do sprawdzenia legalności pobytu żydów, okazała się nieprawdziwą. Natomiast w Moskwie przedsięwzięto środki przeciw powrotowi żydów, oraz w Kijowie rozkazano przyjmować do szkół takie tylko dzieci żydowskie, których rodzice mają prawo mieszkać w tem mieście. — Ceny zboża wciąż rosną, w gub. kijowskiej ceny żyta doszły niemal do cen pszenicy. — Ruch kolonizacyjny rozwija się coraz bardziej w gub. sibińskiej. Z powiatu ardatowskiego po dzień 1 maja r. b. oświadczyło chęć przesiedlenia się 37,850 ludzi, z koruskiego zaś 49,800. Z prośbami występują caemi wioskami, a nawet gminami. Emigracyja żydów również nie ustaje. Z Marjupola donoszą o zamiarze wyjazdu do Palestyny w celu zajęcia się rolnictwem 40 rodzin, które wysyłały tam poprzednio 2-ch delegatów. — Wszystkie kolekcye naukowe medycznych kursów żeńskich po ich zamknięciu oddane zostały akademii medycznej. Obecnie zarząd akademii otrzymał polecenie uporządkować te zbiory i przygotować do zwrotu. — Powiadają, że „instytut”, o którym już pisaliśmy, ma być otwarty w roku 1892 i że dyrektorem jego zostanie profesor akademii Tarnowski. Przy instytucie założony ma być internat dla słuchaczek. — Towarzystwo ochrony zdrowia przedsięwzięło szereg badań nad mieszkaniem robotniczymi w okęgach fabrycznych. — Petersburgscy sędziowie pokoju mają obecnie masę sprawo „zakłócenie spokoju”, wyrażające się w używaniu w miejscach publicznych słów obelżwych i przeklepań „macierzystych”. Kary wymierzane są od 50 k. do 3 rs. Podobne sprawy podnoszone są obecnie i w innych miastach. — W styczniu r. b. w kopalni Rykowskiej (w prow. dońskiej) straszne spustoszenia wywołał wybuch gazów. W d. 20 maja wybuch się ponowił, powodując skałeczenie 5 robotników. Robota w kopalniach odbywa się w dalszym ciągu ze zwykłymi lampami, które były przyczyną wybuchu. Z zabranych w styczniu ze składek 2,000 rs. udzielono 5 wdowom po 50 rs. — W kronice żalobnej zanotować musimy kilka śmierci. Zmarł znany dziennikarz postępowy Ernest Watson, cieszący się powszechnym szacunkiem. Zmarł moskiewski profesor histologii Babuchin, znany uczonej i lubiany profesor. W Petersburgu wreszcie niespodziewanie zakończył życie Andrejewskij, były profesor i rektor uniwersytetu, profesor szkoły pracownictwa i dyrektor instytutu archeologicznego, czło-

nek wielu towarzystw, autor wielu dzieł, w ostatnich czasach redaktor ruskiego wydania „Encyklopedyi” Brockhausa.

Z ZAGRANICĄ.

Kraków. (Kor. „Głosu”). W chwili, gdy kreślę dla was dzisiejszą korespondencyję zebrał się w Tarnowie nauczyciele, włościanie i księża w liczbie przeszło 700 na walny doroczny zjazd „Kółek rolniczych”. Czytelnicy *Głosu* dobrze już uświadomili sobie społeczne znaczenie tych instytucyj galicyjskich, mających na celu moralne i materyjalne podniesienie stanu włościańskiego. Okoliczność ta zwałnia mnie poniekąd od obowiązku scharakteryzowania działalności „Kółek” i pozwala przejść wprost do rocznego sprawozdania zarządu. Zbytecznym byłoby dodawać, że u nas dotąd spotykają się „Kółka” z niechęcią w pewnych sferach, które pragnęłyby raczej oprzeć rozwój społeczny na podstawie jezuicko-afrykańskiej, a niżeli na ludowej. Mimo to „Kółka” potrafiły zjednać już wielu przedstawicieli nawet stańczykowskiej koteryi i postępują wciąż w zakreślonym sobie kierunku. W ciągu 10 niespełna lat założono przeszło 600 „Kółek” dla 867 gmin, a liczba członków wynosi dziś 27,974. Co prawda, Galicyja, jako kraj przeważnie rolniczy, mogłaby poszczycić się większą ilością „Kółek”, gdyż stosunek 600 podobnych stowarzyszeń do 6,986 wsi wydac się musi na pozór wcale nie pocieszającym. Trudności jednak, na jakie „Kółka” natrafily w początkach swego istnienia i jakie jeszcze dziś mają do zwalczania—osłabić winny pesymistyczne poglądy, tworzone na tle cyfrowem. Wiadomo, że zarząd „Kółek” zwraca szczególną uwagę na zakładanie sklepików chrześcijańskich, czytelnicy i bibliotek, przeciwdziałając tą drogą szzerzeniu się demoralizacyi i pijaństwa. W r. u. powstało 121 towarzystw, zaopatrzonych w 5,238 książeczek. Ogółem posiadają czytelnicy „Kółek” biblioteki, złożone z 32,794 książek.—„Kółka” wykazują również dobre rezultaty w kierunku zachęcenia włościan do ubezpieczania się od ognia (rzecz niezmiernie doniosła wobec braku przymusu asekuracyjnego). Dość zaznaczyć, że w księgach krakowskiego towarzystwa asekuracyjnego zapisanych jest 2,514 członków „Kółek” z kwotą 1,065,000 zł. r. Staraniem zarządu zaopatrzyli się także członkowie „Kółek” w nasiona, narzędzia rolnicze, mączkę nawozową na sumę 76,000 złr., podczas gdy dawniej nie mieli pojęcia o podobnych środkach ulepszenia roli. — Do działalności „Kółek” powrócimy jeszcze na tem miejscu przy zdaniu sprawy z tarnowskiego zjazdu.—Przed tygodniem rozegrał się w tutejszym sądzie karnym epilog ostatnich wyborów do rady państwa. Mianowicie: prokuratorya oskarżyła kilku włościan o przekroczenie ustawy o zgromadzeniach. Chłopi zebrał się w Mogile, celem omówienia kandydatury p. Michalka, kontr-kandydata ks. Chotkowskiego i mimo ostrzeżeń delegata rządu (właściwie nielegalnych, co sam sąd przyznał) następnego dnia ponownie odbył zgromadzenie. Sędzia uznał postępowanie komisarza starostwa za nieprawidłowe, mimo to jednak zasądził włościan na grzywny pieniężne.—Proces p. Feldmana i towarzyszy odbędzie się przed tutejszym trybunałem 18 b. m.—W gmachu krakowskiej strażnicy pożarnej urządzono ochotniczą stacyję ratunkową, na wzór podobnych instytucyj wiedeńskich, celem niesienia pomocy w razie nagłych, nieszczęśliwych wypadków. Zawiazanemu przy tej sposobności towarzystwu ratunkowemu przewodniczy prof. uniw. dr. Obaliński. Urządzeniem stacyi krakowskiej kierował wiedeński profesor bar. Mandy.—Tutejsze Koło literacko-artystyczne odbyło doroczne zgromadzenie, na którym wybrano ponownie prezesem p. Juljusza Kossaka, wiceprezesem zaś dyr. Zathę'a. Członkiem honorowym mianowało „Koło” zasłużonego, a dziś ociemniałego artystę—rzeźbiarza p. W. Gadowskiego.—Rektorem uniw. Jagiellońskiego wybrany został jednogłośnie na r. 1891/2 prof. wydziału teologicznego ks. prałat Wł. Chotkowski, poseł do rady państwa.—Z nowości bieżących wypadła jeszcze zanotować, że o dyrekcję nowego teatru krakowskiego ubiega się „triumvirat”, złożony z p. Modrzejewskiej, oraz pp. K. Zalewskiego i Gliksona. — „Przegląd polski” obchodził 25 letni jubileusz dystyngowanego wymsłania tym wszystkim, którzy nie chcą zaciągać się pod sztandar stańczykowski. — Andrzej hr. Potocki, pan na Krzeszowicach, po powrocie z Egiptu pragnie zająć krzesło poselskie w sejmie, opróżnione, wskutek rezygnacyi p. Horwata. Patent afrykański posiada dziś u nas duże znaczenie.

L w o w. (Kor. „Głosu”). Według ostatniego spisu ludności wynosi liczba mieszkańców Galicyi cyfrę 6,607,816. Podług płci liczba mieszkańców dzieli się w ten sposób, że mężczyzn jest 3,260,483, kobiet zaś—3,347,283. Pod względem wyznań stosunki są następujące: katolików rz. obrz. liczy kraj nasz

2,997,430, gr. kat. 2,792,449, żydów 772,213. Dalej idą wyznania ewangelickie, a mianowicie. anglikańskie z cyfrą 36,289, helweckie 4,990, ormiańskokatolickie 1,739 i t. d. Pod względem stanu dzieli się ludność na: wolnych 4,018,017 (2,099,932 mąż i 2,018,085 kob.), zamężnych, ewen. żonaty 2,195,458, owdowiałych 293,434 i sądownie separowanych 907. — Nie do uwierzenia smutnym jest u nas stan wykształcenia ludności. Dość powiedzieć, że Galicyja liczy 4,876,614 (sic!) analfabetów (przeszło 80%), a mianowicie 2,316,166 mąż i 2,560,448 kobiet. Czytać i pisać umie tylko 1,239,122 ludzi. Języka polskiego, jako towarzyskiego, używa w Galicyi 3,516,698 mieszkańców. Ze smutkiem, ale przynajmniej trzeba, że kraj, posiadający przeszło 80 proc. analfabetów do rzędu cywilizowanych zaliczonym być nie może. — W dniach: 17 i 18 lipca odbędzie się w Drohobyczu doroczny zjazd pedagogiczny. *Lambda.*

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

W polityce międzynarodowej zawsze przedewszystkiem obchodzi pytanie, kiedy wybuchnie wojna, kto z kim wojować będzie i po czyjej stronie są szanse zwycięstwa. Pomni tego, zwrócić się przedewszystkiem musimy do kwestyi trójprzymierza, o którym tyle rozprawiają obecnie. W r. 1892 upływa termin „ligi pokoju”, czyli spółki wzajemnego ubezpieczenia przeszłych i przyszłych łupów, jak powiadają złośliwi. Czy umowa odnowiona zostanie — oto pytanie główne. We Francyi z chwilą objęcia steru spraw włoskich przez margrabiego Rudiniego, ludzono się nadzieją, że trójprzymierze umrze naturalną śmiercią. Nadzieje te, jak łatwo można było się domyśleć, zarówno z przemówień rządu jak i wielu członków opozycji, są bezpodstawne. Wielkopanstwowe marzenia Włoch zwracają się nie tyle ku odzyskaniu zakordonowych prowincyi włoskich, które zresztą nie tylko w Austrii się znajdują, ile ku zajęciu wybitnego stanowiska na morzu Śródziemnym. Tu zaś interesy Włoch ścierają się przedewszystkiem z interesami Francyi. Wymaganie zaś wdzięczności przez tę ostatnią, jako też francuzkie roszczenia, uzasadnione zresztą, do odegrywania roli przewodniej w związku ludów lacińskich, wreszcie obawa króla Humberta przed zasadą republikańską — wszystko to uniemożliwia tak naturalny, zdawałoby się, sojusz francuzko-włoski i popycha jednocześnie Włochy ku „lidze pokoju”, pomimo wszelkich tradycyjnych nienawiści ku szwabom i pomimo upokorzeń, doznanych przez króla ze strony Austrii.

Jeżeli jednak odnowienie trójprzymierza w zasadzie zdaje się nie ulega wątpliwości, nie znaczy to wszakże, iżby nieznaną zresztą bliżej traktat pozostał bez zmiany. Z żywej dyskusyi gazeciarskiej wnosićby można, że toczą się obecnie narady co do zmian. Włochom przedewszystkiem chodzi o wciągnięcie do sojuszu Anglii. Istotnie, dzięki konfiguracyi kraju, obrona wybrzeży włoskich jest wielce utrudniona, a nawet silna flota francuzka mogłaby znacznie utrudnić, a częściowo uniemożliwić ruchomienie armii. Oddawna też mówiono o zawarciu specjalnej włosko-angielskiej umowy, na podstawie której Anglia zobowiązywała się otoczyć wybrzeża włoskie opieką swej potężnej floty. Kwestyja ta kilkakrotnie podnoszona była w parlamencie angielskim przez radykałów. Rząd odpowiadał stale, że żadnej umowy niema, w słowach jego znajdowało się zawsze coś niewyraźnego i dwuznacznego.

Obecnie właśnie ogromnego hałasu narobił we Francyi ogłoszony w *Figarze* list dep. Millevoye'a do Labouchera, który znowu w parlamencie angielskim wniósł interpelacyję w tej sprawie.

Millevoye, dawniej bonapartysta, później zaś bulanżysta, oświadcza, że na początku roku zeszłego miał rozmowę ze zmarłym niedawno księciem Napoleonem, który zapewniał go, że wie od króla Humberta o istnieniu umowy włosko-angielskiej, gwarantującej „równowagę” na morzu śródziemnym. Umowa ta, jeżeli nie jest właściwym traktatem, to w każdym razie nie jest ustną, lecz pisaną. Rewelacyję Millevoye'a potwierdza Prignant, utrzymujący, że książę Napoleon w jesieni roku zeszłego stale twierdził o istnieniu poczwórnego, nie zaś potrójnego przymierza.

Interpelacyja Labouchera, a raczej odpowiedź podsekretarza stanu do spraw zagranicznych Fergussona nie rozsiała wątpliwości, przeciwnie, raczej potwierdziła istnienie — nie traktatu wprawdzie, lecz „porozumienia” (*entente*), wyrażając się językiem dyplomatów. Zaprzeczył on mianowicie wszelkim pogłoskom o traktacie, dodał jednak, że Anglija, podobnie jak Włochy, życzą zachowania „równowagi” na morzu Śródziemnym. W związku z tą kwestyją znajduje się również pogłoska dzienników francuzkich, o rewizyi

włoskich arsenałów, portów i warsztatów okręgowych, dokonywanej jakoby obecnie przez admirała angielskiego Hoskinsa.

Od kwestyi ugrupowania się mocarstw w przyszłych zapasach, zwróćmy się do polityki wewnętrznej. do tej pracowni, w której na miejsce przeżytych kształtów wytwarzają się nowe. Zwrócić tu musimy przedewszystkiem uwagę na wniesiony do izby francuzkiej projekt emerytur robotniczych. W głównych zarysach projekt przedstawia się tak: każdy robotnik, otrzymujący mniej niż 3,000 fr. rocznie, po doświadczeniu 25 lat wieku, ma prawo (lecz nie obowiązek) składania dziennie 5 lub 10 centymów do kasy na rzecz emerytury. Taką sumę obowiązany jest wnieść na rzecz robotnika przedsiębiorca. Wreszcie $\frac{2}{3}$ ogólnej składki robotnika i przedsiębiorcy dodaje od siebie państwo. Po 30 latach pracy robotnik otrzymywać będzie z kasy emeryturę w ilości 300 lub 600 fr. (zależnie od wysokości składki). Robotnicy, nie życzący korzystać z tego prawa, winni złożyć przed merem odpowiednią deklaracyję. Nie udajemy się w szczegóły tego prawa, ponieważ wobec jego doniosłości poświęćmy mu wkrótce osobny artykuł. Tutaj zuntujemy, że wniesienie projektu spowodowało skandaliczną scenę. Derouleda zażądał od ministeryjum natychmiastowego wniesienia projektu także do senatu i postawienia przez gabinet kwestyi zaufania w tej sprawie. Inaczej, nie bez racyi utrzymywał mówca, prawo w senacie nie przejdzie i wystąpienia rządu z projektem wyglądać będzie jedynie na szarlataneryję. Słowa te wywołały burzliwą scenę, która zakończyła się wydaleniem Derouleda'a.

Na kilka dni przedtem deputowany Basly interpelował rząd, czy zamierza przedsięwziąć jako środki przeciw przedsiębiorcom, którzy wydalają robotników za należenie do dozwoleń przez prawosyndykatów. Interpelacyja do niczego nie doprowadziła.

Dotychczasowa ustawa wyjątkowa dla Wiednia i okolic, oraz dla okręgów fabrycznych Czech i Styrii zostaje, zniesiona, natomiast wprowadzone będą nowe przepisy o stowarzyszeniach, mających na celu gwałtowny wywrót istniejącego porządku państwowego i społecznego. Osoby, werbujące członków do takich stowarzyszeń, podlegają karze obustronnego aresztu od 1 miesiąca do 3 lat. Taż sama kara grozi za udział w zebraniach i pochodach, mających cel powyższy. Władza otrzymuje prawo zakazywania wydawnictw, które 2-krotnie ulegały czasowemu. Przekroczenie tego ostatniego przepisu pociąga areszt obustronny od 6 miesięcy do 3 lat i grzywny.

W komisyi budżetowej lewica po raz pierwszy od czasu utworzenia gabinetu hr. Taaffego głosowała za funduszem dyspozycyjnym, czyli sekretnym.

Ogłoszone zostało drukiem sprawozdania z wieca nacyonal-liberałów. Zawiera ono tekst mowy Benigsena, z której na zaznaczenie zasługują ustępy, dotyczące walki z pretensyjami kościoła do szkoły ludowej i reform społecznych. Co do tych ostatnich, zdaniem Benigsena, należy się powstrzymać od dalszych zmian, a zająć się jedynie wprowadzeniem w życie wydanych już ustaw.

Kortezy portugalskie zatwierdziły umowę z Angliją co do odgraniczenia posiadłości afrykańskich.

Zatrzymani w Turcyi pasażerowie pociągu zostali po złożeniu wykupu wypuszczeni na wolność.

KRONIKA LITERACKA.

Wojciech Oczko. Syfilidolog polski XVI wieku przez *Ernesta Sulimczyka-Swieżawskiego* i *Kazimierza Wende*. (Odbitka z „Pamiętnika Tow. Lek. Warsz.”, 1890). Warszawa, 1890.

Znana spółka, uprawiająca historię medycyny w Polsce, dała nam obecnie życiorys słynnego lekarza nadwornego królów Stefana Batorego i Zygmunta III. Życiorys daje cenne wskazówki o ówczesnych szkołach, stanie nauk i t. p. Autorowie dowodzą niezbicie, że nazwisko Oczko jest nie tylko słowiańskie, ale czysto polskie i dość często w rozmaitych aktach spotykane. Zauważmy, że w XVI wieku nazwisko Oczko odmieniało się Oczka, Oczkowi i t. d., nie zaś Oczki, Oczce, jak to obecnie byśmy czynili.

Spis lekarzy polskich. Przyczynek do dziejów medycyny polskiej. Zebrali *E. S. Swieżawski* i *K. Wenda*. (Odbitka z „Medycyny”, t. XIX, z r. 1891).

Wiek XIX. Obraz ważniejszych wypadków na tle cywilizacyi w dziedzinie historyi, sztuki, nauki, przemysłu i polityki z licznymi ilustracyjami. Według oryginału *O. Leimera* opracował Fr. Rawita (Gawroński) pod kierunkiem redakcyi „Tygodnika Ilustrowanego”.

Warszawa, 1891. Nakład Gebethnera i Wolffa. Tom I, zeszyt 3.

Dzieło Leimera obejmuje bardzo szeroką sferę zjawisk, traktować je preto musi dość pobieżnie. Stanowi ono lekturę przyjemną, a nie pozbawioną pożytku. Ilustracyje są liczne i niezłe. Przekład uwzględnia dostatecznie rzeczy polskie.

Jezus Chrystus, przez *O. Didon'a*, w przekładzie polskim ks. bisk. Kossowskiego. Warszawa, 1891. Nakład Gebethnera i Wolffa. Zeszyt VII i VIII.

Dzieło to we Francyi miało powodzenie ogromne, w zupełności bowiem odpowiadało potrzebom ludzi wierzących posiadania żywota Jezusa Chrystusa, napisanego z artystycznym talentem.

Dzieje Polski w zarysie, przez *Michała Bobrzyńskiego*. Trzecie zwiększone wydanie. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Tom I, 1887. Tom II, 1890.

Notujemy dziś wyjście dawno oczekiwanego drugiego tomu znakomitej pracy Bobrzyńskiego. Niebawem umieścimy sprawozdanie obszerniejsze.

Kobieta w pieśni ludowej, przez *K. Skrzyńską* („Biblioteka Wisły”. Tom VIII). Warszawa, 1891.

O pracy tej, jak w ogóle o całym wydawnictwie Biblijoteki umieścimy wkrótce sprawozdanie obszerniejsze.

Sobotka. (Wigilija św. Jana Chrzyciela dnia 23 czerwca. Obchód Sobótki). Kwestyjona-ryjusz ułożony przez *Rafała Lubicza*. (Odbitka z tomu V „Wisły”). Warszawa, 1891. Cena 25 kop.

Odpowiedzi na kwestyjona-ryjusz powyższy nadsyłać należy do redakcyi „Wisły”.

Sprawozdanie stowarzyszenia akademickiego „Ognisko” w Wiedniu (VI Rahlgasse, nr. 6) za rok administracyjny 1889/90. Kraków, 1891. Nakł. Stow.

Stowarzyszenie liczyło 84 członków zwyczajnych, z których 17 piastowało 19 rozmaitych urzędów. Wśród członków wspierających spotykamy „J.W. P. Jana Blocha bankiera” ze składką roczną 4 złr. 50 cent. i „świetne rady powiatowe”, ze składkami od 3—60 złr. rocznie. Na książki i czasopisma wydano razem 187 złr. Dochód ogólny wyniósł 1,852 złr., rozchód 1,920. Niedobór pokryła pozostałość z lat poprzednich.

KRONIKA Powszechna.

— **Rozporządzenia rządowe.** Przy aresztowaniu osób przez władze cyrkulowe bardzo często zdarza się, iż przyczyna aresztowania nie jest dość jasno wyłożona lub też przytoczona zupełnie niezrozumiale, co daje powód do zbyt częstej korespondencyi, oraz do niewłaściwego przetrzymywania osoby aresztowanej. Zwracając szczególną uwagę komisarzy cyrkulowych na podobne postępowanie, sprzeczne z porządkiem prawnym, p. oberpolicmajster poleca w rozkazie za n-rem 142-im, w celu uniknięcia niepotrzebnego zatrzymywania osób i co zatem idzie, zbyt częstej korespondencyi, wskazywać zawsze powody aresztowania danej osoby i to tylko takie, które prawnie upoważniają organa policyjne do podobnego kroku, przyczem należy się kierować rozporządzeniami, wydanymi w tym przedmiocie w rozkazie z d. 7 kwietnia r. b. za n-rem 97.

— **Kronika społeczna.** Na ostatniem posiedzeniu komitetu kanalizacyjnego uchwalono rozpocząć dalsze roboty sposobem „artelowym”, polegającym na tem, że miasto nie oddaje robót żadnemu przedsiębiorcy, ale spółce robotników, którym zapewnia pewną oznaczoną płacę dzienną, a nadto wynagrodzenie dodatkowe, jeżeli roboty wykonają przed terminem oznaczonym. Jeden robotnik pracuje więc tu dla wszystkich spółników. — W ministeryjum dóbr państwa wypracowano już ostatecznie projekt opodatkowania rybołówstwa w myśl nowych przepisów o rybołówstwie. — Nowe przepisy, dotyczące dozoru medyczno-sanitarnego nad fabrykami, będą niebawem zatwierdzone przez Radę państwa. Przepisy te wymagają między innymi, żeby fabryki i zakłady fabryczne oddalone od miasta, miasteczka i wogóle osady, posiadających szpitale miejskie lub publiczne, miały bezwarunkowo lazarety od 10—14 łóżek i pokoje do przyjmowania chorych na 10 łóżek, nadto aptekę, felczera i stałego doktora. Kontrola nad służbą sanitarną i medyczną w fabrykach będzie powierzona doktorowi powiatowemu. — W niedzielę odbyła się doroczna wycieczka towarzyszy sztuki drukarskiej. Przeszło 500 uczestników zabawy, udało się dwoma parostatkami Górnickiego do Miocin. Zabawa była urozmaicona deklamacyjami i śpiewem. — „Petersb. Wied.” donoszą, iż projektowane jest utworzenie centralnej kasy zapomóg dla robotników kolejowych. — Oddział Cesar-

skiego Towarzystwa technicznego otwarto w Dąbrowie Górniczej. Prezesem oddziału jest inżynier górniczy Kondratowicz, wice prezesem inż. Mauve.—Wobec przypadającego w r. 1893 stulecia od czasu przyłączenia gub. podolskiej do Rosyi, władza duchowna zarządziła pilne zbadanie materiałów historycznych o narodowo-religijnem życiu gub. podolskiej w ubiegłym stuleciu.—Kasa pożyczkowo-wkładowa artystów teatrów warszawskich liczy 556 uczestników. Fundusze kasy powiększyły się w r. b. o 11,000 rs. W roku sprawozdawczym udzielono pożyczek 9,779 na sumę 176,000 rubli.

—Kronika ekonomiczna. Cena ziemi w państwie ruskim, w okresie od roku 1882—1887 wciąż idzie w górę. W r. 1882 diesiątyna, biorąc przeciętnie dla całego państwa, kosztowała 32 rs., w r. 1887 cena jej doszła do 42 rs. i 60 kop., t.j. podniosła blisko o 40%. W oddzielnych guberniach, szacunki zmieniają się w sposób następujący:

	Cena diesiątyny		Przyrost
	w 1882 r.	1887 r.	w %
Kowieńska	42 rs.	68 rs.	+ 62
Wileńska	24 „	38 „	+ 46
Mińska	13 „	13 „	+ 0
Grodzińska	27 „	41 „	+ 52
Witebska	11 „	22 „	+ 100
Mohylewska	12 „	20 „	+ 67
Wołyńska	24 „	32 „	+ 33
Podolska	80 „	84 „	+ 5
Kijowska	74 „	89 „	+ 20

w Królestwie nie tylko nie znajdujemy przyrostu, lecz, obniżkę ceny ziemi i to znaczną, bo wynoszącą aż 29%. Jeżeli porównamy przeciętny przyrost dla wszystkich rozpatrywanych gubernij, który wynosił 43%, z obniżką dla Królestwa (29%), to otrzymamy różnicę bardzo wysoką, bo aż 72%.—Podług urzędowych wykazów, dochody miejskie w r. z. wynosiły rs. 2,843,819, t.j. o 208,266 rs. więcej, niż w r. 1889.

—Szkoły i oświata. Ministerjum oświaty wydało w tych dniach rozporządzenie o warunkach przyjmowania do projektowanych szkół technicznych nowego typu—uczniów gimnazyjów. Do szkół technicznych mogą być przyjmowani ci uczniowie, którzy ukończyli 5 klas

gimnazyjalnych z promocją do klasy 6-ej. Od uczniów takich wymagany będzie egzamin dodatkowy z fizyki i rysunków technicznych w zakresie 5 klas szkół realnych, z algebry zaś i geometrii z kursu 5 klasy tychże szkół. Od uczniów gimnazyjów klasycznych, którzy ukończyli 6 klas, egzamin dodatkowy wymagany będzie tylko z fizyki (kurs 5-ej klasy szkół realnych).—Ogłoszono nowe prawo, którego mocą do szkół technicznych na kolejach żelaznych przyjmowani będą wyłącznie poddani ruscy, mający w dniu 1 (13) września 14 do 18 lat. Przyjmowanie uczniów może mieć miejsce wyłącznie tylko do klasy I-ej. Uczniowie szkół rzeczonych mogą mieć odroczoną służbę wojskową do 24 lat wieku.—Dzienniki petersburskie donoszą, iż projekt otwarcia w Petersburgu rządowej szkoły handlowej dla kobiet został ostatecznie zaaprobowany. Kursy mają się rozpocząć z początkiem przyszłego roku szkolnego.

—Literatura i sztuka. Komedjopisarz Józef Bliński rozpoczął w Krakowie wydawnictwo „Biblijoteki teatrów amatorskich”. Dotąd wyszły „Za pozwoleniem”, „Łapka na myszy”, „Fortepijan Berty”.—P. Sławomir Odrywolski zebrał i ogłosił „Zabytki przemysłu artystycznego w Polsce”.—Ukazała się broszura p. Jana Ew. Rembacza p. t.: „Ballada w literaturze niemieckiej i polskiej”, oraz znaczenie jej dla celów szkoły średniej.—Biblijotekarz jednego z księgozbiorów włoskich, F. Carta, odszukał rękopis „Boskiej Komedyi” Dante’go w biblijotece narodowej w Medyolanie. Na rękopisie znajduje się herb Dante’go, co świadczy, że jest to autentyczny odpis poematu; odkrycie p. Carty przyczyni się do ustalenia tekstu genialnego utworu, nad oem wielu już pracowało, nie mogąc rozwikłać nastrojących się wątpliwości.—Dwie literatki szwedzkie, Stern i Carenno, otrzymały z rąk swego króla medale złote z napisem: „Litteris et artibus”.—Wydawca „Gaz Losowań” otrzymał zezwolenie na wydawnictwo dodatku do pisma, pod nazwą: „Tygodnik asekuracyjny”. Program pisma obejmuje wszystkie działy ubezpieczeń, oraz przedmiotów, pozostających w jakimkolwiek związku z ubezpieczeniami.—„Praw. Wiestn.” w dziale rozporządzeń prusowych donosi o zmianie koncesyi „Ziarna”, które odąd staje się tygodnikiem ilustrowanym. Koncesyja rozszerzona została przez wprowadzenie działów: a) poe-

zy; b) humorystyki i c) mód. 30 maja wyszedł pierwszy numer „Ziarna—tygodnika”.—Wystawę dzienników otwarto w dniu 29 maja w Paryżu na polu Marsowem, w pałacu sztuk pięknych. Znajduje się tam 3,600 okazów, z których pewna ilość najdawniejszych przedstawia względny interes.

—Rozmaitosci. W gub. penzeńskiej pow. sarańskim, jak dorosła „Moskowskija Wiedomości”, istnieją trzy wsie, których ludność zajmuje się żebraniem z profesyi. Po żniwach każdego roku, prawie połowa mieszkańców wyjeżdża wózkami nad Don, do Kaukazu, Uralu, nawet do wschodniej Syberyi, mając na wozie prawdziwego czy udanego kalekę, a na wiosnę wracają do domu z dobrze nabitym trzosem, oraz najrozmaitszymi zapasami żywności. Ze zbieranej jałmużny wszyscy postawili sobie porządne domy, kryte dachówką, założyli po wsiach restauracje i sklepy z towarami kolonialnymi, niektórzy mają konne młocarnie, sporo inwentarza, wykwinne sprzęty domowe i t. p. Największa z owych wsi, Archangielskoje—Golicyno, liczy 3,006 dusz, a z nich 1,577 wyjechało w r. 1887 na żebranie, czyli 52%.

Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

P. B. Kiern. w Penzie. „Gawędy” wysłaliśmy. Rachunek pański przedstawia się jak następuje: 10 kwietnia otrzymaliśmy 5 rs., 5 czerwca 3 rs., z roku zeszłego brakowało 15 kop., Bellamy 75 kop., „Gawędy” 30 kop., razem rs. 1 kop. 20. Na „Głos” więc zostaje rs. 6 kop. 80, czyli do końca roku braknie rs. 2 kop. 20.

P. Dłbr. w Bor. „Metoda angielska” z przes. 88 kop., a że otrzymaliśmy od pana rs. 8, do końca więc roku brak rs. 1 kop. 88.

P. A. F. w Szczucz. Do końca roku brak rs. 4 kop. 15 (piętnastu) nie zaś 85, jak mylnie wydrukowano w zeszłym numerze.

P. J. w Kop. Na książki wydaliśmy rs. 7 (siedem) kop. 78, nie zaś 17, jak mylnie w zeszłym numerze wydrukowano.

OGŁOSZENIA GŁOSU.

Adres: ulica Niecała Nr. 12.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu
opłacona z góry 7 rs. 15 kop.

E. H.

Encyklopedyja Encyklopedyja Encyklopedyja

Humoru Humoru Humoru

Cena tomu opła- Wychodzi mniej więcej
conego z góry 2 rs. w odstępach tygodn.

Wyszedł z druku zeszyt XLVII.

DOSTAWCA DWORU
Cesarsko - Austryjacko - Węgierskiego.



„EXSICCATOR”

Niszczy grzybek drzewny i osusza wilgoć raz na zawsze i t. p.

Broszurkę, niezbędną dla każdego budującego wyśłam franco i bezpłatnie.

Wyn. Inż. Tech. G. RITTER
Królewska Nr. 39.

Dzwonki elektryczne, Telefony, Piorunochrony, Ochronniki przed kradzieżą, według najświetniejszej konstrukcyi, urządza w mieście i na prowincyi pod gwarancją i najtaniej zakład optyczno-elektryczny Juliana Drechera (Szpitalna Nr. 6). Tamże wielki wybór Okularów, Binokli, Lornetek, Termometrów, Narzędzi chirurgicznych, drutów, elementów, przycisków i t. p. PP. mechanicznie stosowny rabat. Przyjmuje reperacyje.

PŁUCOWE

cierpienia, astma

doznają uleczenia. Metoda, która jest szybka i pewna, popiera ją doskonale, wielorako wyprobowane środki. Po 4 tygodniach następuje zawsze stanowczo polepszenie. Obszerne sprawozdania ze znaczkami zwrotnemi należy adresować:

OFFICE SANITAS
57, Boulevard de Strasbourg
PARIS.

DIWANY, wszelkie pokrycia meblowe, Koldry, Kapy, Chodniki, Serwety, najlepiej kupować w głównym składzie Giełżyńskiego, Marszałkowska 137.

Francuzka z dyplomem, życzy sobie przyjąć panią na stancyje, od 1 Września r. b. Wiadomość Nowy Świat 21, m. 24, od godziny 10 rano do 12.

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga Plato v. Reussnera

NAJLEPSZA METODA

do nauczania się bez Nauczyciela czytać pisać i rozmawiać po niemiecku w 3-ech miesiącach, po angielsku w 24 lekcjach. Cena metody niemieckiej kurs wyższy rs. 1 k. 60. Komplet, t. j. kurs niższy i wyższy razem, tylko 2 rs. Metoda angielska z wymową, kurs niższy k. 75. Najlepszy Elementarz Polsko-Niemiecki i Rusko-Niemiecki z wymową, z 14 wzorkami pisma i 200 rycinami kop. 35, 30, 20 i 10 (oprawy kop. 45). Najnowszy Elementarz Polski z 20—40 wzorkami pisma, rysunków i rycinami (obrazkami) razem 340 Figur, tudzież ze wskazówkami pedagogicznymi k. 25, 20, 15, 10 i 5. Powiastki Polsko-Niemieckie 20 kop. Powieść Ali-Baba i 40 zbrojów 15 k. Myśliwi Giemz, powieść 10 k. Na przesyłkę pocztową dopłaca się do każdego rubla po k. 20.

Skład główny u autora (P. v. Reussnera) ulica Marszałkowska Nr. 142 w Warszawie.

KRAWIEC
T. Niedźwiedzki
Hr. Berga Nr. 2.

otrzymał materiały sezonowe.

SZKICE FOTOGRAFICZNE

Z
„Zakutego-Grodu”przez
Kazimierza Glińskiego

(Dalszy ciąg).

Henryk usiadł na wskazanym miejscu, przymuszał siebie do śmiechu i żartów, mówił dużo, choć roztargniony był i rozgorączkowany, ale współbiednicy nie dostrzegali tego. Pani Harasymowiczowa uśmiechała się, z wdziękiem podawała konfitury i orzechy tłuczone. Piękny plaster lipcowego miodu leżał na środku stołu... Był to specyjał księdza Tomczaka, który, zamiast cukru do herbaty miodu używał.

Po wieczery odezwała się gitara. „Hryć” zaczął, zakończył „Filon”. Henryk zagłębił się w fotelu, milczał, ale nie rozkoszował się śpiewem pani ekonomowej, która szarpała struny coraz namiętniej i zawodziła czulej. Bóg wie o czym myślał, ale nie o księżycu wschodzącym i psach uspiionych. Ksiądz Tomczak za to był pod wrażeniem śpiewu. Ruszał głową, w takt nogą o podłogę uderzał i „waszeć proszę!” — szeptał półgłosem. Harasymowicz z dumą patrzył na małżonkę, co chwila na księdza, to na pana Henryka spozierając. Zadumanie młodego pana, złożył na karb głosu swej połowicy. Siedząc między Henrykiem a księdzem Tomczakiem, gdy głos śpiewającej ciął w najlepsze koguta—(co tylko w liczniejszym przytrafiało się towarzystwie)—zwracał się nieco ku pierwszemu i śledził wrażenie na twarzy zamyszonego.

— Prawda, wielmożny panie, że dobrze?... — szeptał.

— U - hu! — odpowiedział w roztargnieniu Henryk...

— Waszeć proszę! waszeć proszę! — kiwając głową i jasną brodę gładząc — mówił ksiądz.

— Ona czasem tak wywodzi, że zdaje się, że to nie ona, *tylo* coś takiego, co sam Pan Bóg nie wie — szeptał półgłosem Harasymowicz.

— Czy nauki gdzie brała? — pytał ksiądz.

— To już tak z natury.

— Waszeć proszę! waszeć proszę!

— Prawda, wielmożny panie, że dobrze — zwrócił się do Henryka.

— U - hu! — odpowiedział, zajęty swojemi myślami mąż Dosi.

Harasymowiczowa grać przestała — ksiądz podniósł się z siedzenia...

— Ślicznie!... ślicznie!... — odezwała się. Idźwicznosc w głosie jest i poezja w *wirszykach*. Dziękujemy, waszeć proszę, za przyjemności nam zrobienie.

Henryk się zbudził... ksiądz Tomczak dziękował, wypadało i jemu w też tropy uderzyć... Winszował Harasymowiczowi gitary, gitarze Harasymowicza — widocznie był roztargniony. Pan Harasymowicz i to złożył na karb wrażenia i rad był niewymownie z dzisiejszego wieczoru.

Blizko już było północy, gdy ksiądz Tomczak, pożegnawszy Henryka i gospodarzy, u których czas tak mile przepędził, przez grobelkę na wieś podążył. Henryk zatrzymał się w ganku, Harasymowicz przysiadł na przyźbie.

— Pyszna noc! — szepnął mąż Dosi, jakby do siebie.

— Będzie deszcz jeszcze, bo żaby rechoczą — odezwał się ekonom, a i miesiąc w lisią się czapkę poszył.

— Piątek... sobota... niedziela — szepnął Henryk.

— Zwieziemy pół łanu, jeżeli deszcz wytrzyma i nie popaskudzi nam roboty — mówił Harasymowicz...

Henryk zbliżył się do ekonomy, który powstał.

— Panie Harasymowicz! — rzekł, biorąc go za guzik od kurtki. Mam nadzieję, że pan potrafi gospodarstwa dopilnować równie dobrze, jak ja. Pieniądze panu zostawiam, a że wszystko będzie dobrze i uczciwie — wierzę!

Zafatwiwszy się z ekonomem zaszedł do stajni.

— Iwas, konie! — krzyknął...

Wrócił do pokoju i rzeczy zaczął pakować.

Nie upłynęło dwudziestu minut, jak w dziedzińcu zaturkotało, rozległ się dwukrotny trzask z bata, brzęk dzwonek i, miotając butnie rozwianemi grzywkami, piękne rumaki zaprzężone do eleganckiego powozu, zatrzymały się przed gankiem.

— Pożegnaj ode mnie żonę, panie Harasymowicz! Do widzenia! — rzucił Henryk już z powozu, a zwracając się do Iwasia — zawołał:

— Ruszaj!...

Konie wyciągniętym pomknęły kłusem.

Minęli groblę, wieś — stróż sielski otworzył kołowrót, zdjął czapkę i kłaniając się do pasa rzekł do jadącego:

— Z Bohom!...

Wyjechali na czyste pole.

Księżyc złościł ściernisko — wiatr hulał po rowinach.

— Pyszna noc! — odezwał się Henryk.

Spojrzał na zegarek.

— Po pierwszej... Mil piętnaście z okładem. Przed wieczorem, choćby konie dyjabli pobrali — będę!

Zagryzł wargi, potargał wasy i huknął na Iwasia.

— Z kopyta!

Kozak rozwinął bat — palnął, aż step szeroki zaklaskał... konie wichrem pognały.

Harasymowicz stał długo na ganku swojego mieszkania i długo słyszał srebrzysty głos dzwonek, który biegł przez łąny dalekie, ucichał, gasł zwolna, aż gdzieś w odległej przestrzeni się roztopił.

VII.

„Kiryło coronat opus”.

— Aj jegomość! jegomość! — zawołała Katarzyna do wchodzącego Kajcia, który po całodziennej prawie niebytności w domu, przestępował próg swojego pokoju.

— Co tam, Kaciuchno?

— Gdzie to jegomość się włóczy?...

— Zajęcie, Kaciuchno — nic, tylko zajęcie...

Człowiek jednej chwili nie zna, w którejby nie myślał o zrobieniu czegoś dobrego ludziom...

— A tu za jegomościem, gwałt...

Jakokowicz miał usiąść na nowopodmateracowanym fotelu, gdy nagle się zatrzymał i spojrzał na mówiącą.

— Jaki gwałt, Kaciuchno? — zapytał.

— Marynka sześć razy już przylatywała.

— Marynka?...

— Aha!

— I co?

— Jegomościa nie było, to pokreśliła się i poszła.

Jakokowicz uśmiechnął się.

— Czy ty wiesz, Kaciuchno, że ta głupia dziewczyna myśli, że ja się z nią ożenię?

— O... o!...

— Jak pana Jezusa kocham, prawda!...

— Oto durna! — zakrzyknęła Kaciuchna.

— Sama się naprasza — rozumiesz!... Gdyby kto inny — oho!... ale ja tak jak zawsze — zdaleka...

— Ja nie wiem, czy jegomość wie, jak kobieta wygląda?...

— Jak ciebie kocham, nie wiem... Coś tam, ale żeby tak wyraźnie — to nie!...

Klapnął uszami, brwi podniósł i zaczął wielkim palcem manipulować koło nosa.

— Dawno, jak ona ostatnim przybiegała razem?

— Przed minuteczką. Zaledwie wybiegła, a jegomość przyszedł...

— Czy mówiła ci co, Kaciuchno?

— Mówiła, żeby jegomość zaraz był u niej, że ma tam dla jegomościa jakieś kluczyki.

— Kluczyki?!... — krzyknął Jakokowicz, rzucając się z miejsca... A lubka! — dotrzymała słowa... Ty, Kaciuchno, milcz jak pień, bo tu ważna historia wyjść może... A, pani Dorotko! szeptał — mam cię, mam cię, mam cię!... Nie wiem, kto teraz z Dardanelami się zapozna, ja — czy ten twój Hen... Henryczysko!

Chwycił kapelusz i, rozkazawszy Katarzynie domu pilnować, szybkim krokiem wyszedł na ulicę.

Wieczór był cichy, słońce tylko co zaszło, mrok zapadał powoli. Kiryło siedział na ławce przed domem, wysoką czapkę pochylił ku tyłowi głowy i smokeząc krótką lulkę, spluwał przez zęby na ziemię. Myślał o komarach, o „gizie, co to jak ciele utnie w szyję, to ono skacze jak szalone po pastwisku, mycząc a ogonem młynkując”.

— Czort zna je, szeptał — na co te ludzie miasta pobudowali... Paskudztwo i koniec!... Kamienie i kamienie wszędzie, a turkot, a harmider, że uszy bolą, a co miesiąc do szewca iść trzeba, by buty łątał. Hej! niema jak szesrokie, zielone pole, gdzie się to człek zapatrzeć tak może, że o świecie całym zapomni...

Podniósł głowę i zobaczył Marynkę, z miasta powracającą. Cmoknął, wypuścił duży kłęb dymu i przymrużając jedno oko, odezwał się:

— A gdzie to panna tak lata, jak ta *nawizera*?

— At! pan Kiryło jak powie, to i słuchać trudno.

— Bo *praude* Kiryło gada — taj co? Aby niedziela, to panna cały dzień za domem.

— A panu *Kiryłowi zajadrosć*?

— Wielka!...

— To czemu pan Kiryło nie przewietrzy się?

— Czy ja kanapa, do której móle *wleźli*, że ją trzeba na podwórko co tydzień wynosić?...

Splunął.

— Ale ja pannie Maryjannie coś powiem.

— Co?... ciekawa.

— Otóż to, że panna ciekawa i z *Jakokoškim sia* zadaje. A z tego może wyjść czort wie co.

— A wam co, co ja robię?... ot jeszcze! — prychnęła Marynka.

— Mnie nic, bo mnie *Jakokoški* nie zaswata, a i panny nie zaswata, tylko kiepstwo zrobi i ha?

Marynka oburzyła się.

— Lepiej niech Kiryło nie wtrąca się, co do niego *nie przychodzi*!

— Do mnie nic nie przyjdzie, a do panienki może — tak już Pan Bóg przykazał. A jak ja miarkuję, to ten *Jakokoški* coś tak się kręci, jakby mu nie o pannę Marynkę chodziło.

— Co to, Kiryło, tak rozgadał się dzisiaj?

— Bo ja sobie miarkowałem, taj coś wymiarkowałem.

— Zkądże to?—zapytała...

— Ot, przyszło—i ha? Myślał ja o muchach, co w Jaropowcach na polu latają, później *komuchy nasunęli się*, a gdy pomyślał o *cielu*, którego *giez* kasa, to już mnie i panna Marynka z Jakokośkim na myśl przyszła...

Spojrzał przed siebie i, przymrużywszy jedno oko, szepnął...

— Ot! już sunie kawaler, giez do ciela!— Splunął i lulkę smoktać zaczął.

Jakowicz stanął przed nimi...

— Dzień dobry, Kiryło! cóż tam słyhać, panno Maryjanno?... Pani w domu—co?...

Kiryło coś mruknął, wstał i odszedł kroków parę, zatrzymał się koło parkanu i zaczął liczyć wróble, siedzące na okwitłem krzaku berberyowym. Jakowicz zbliżył się do pokojówki Dosi, ścisnął ją za rękę i szepnął...

— Kaciuchna mówiła, że masz kluczyki... ha?...

— A mam!—odszepnęła Marynka.

— Ożenię się z tobą!... Niech mnie pioruny zabiją, jeżeli nie mówię prawdy!... Ale powiedzże, Maryneczko, jak ty do ich posiadania przyszła, bo ja już zwątpiłem, żeby ty tego dokażać mogła.

— Oho!—odpowiedziała Marynka dumnie.

— Jakże, gołabeczeko, ty to zrobiła?... sztuka!

— Moja pani przed samym wieczorem otrzymała od panienci Olskiej list, w którym *stało*, że jej narzeczony przyjechał, i jeszcze *stało*, że panna Zosia bardzo prosi, żeby pani zaraz do niej przyjechała na cały wieczór. Moja pani zaczęła się stroić, a kluczyki tym *momentem* na gotowalni położyła. Ja mach serwetę, taj zakryła, żeby w oczy nie *leźli*. I ot zrobiło się, że pani pojechała, a ja za klucze łap cap. A co?

— Rozumna z ciebie, Marynko, kobieta! jak mamę kocham, rozumna!... zawołał uradowany Jakowicz...

— Ja zawsze tak, jeżeli kto mnie do inteligencji przemówi...

— To może pójdziemy—he?

Marynka pokręciła głową.

— Kiryło!—szepnęła...

— Prawda, że ten hajdamaka sfinksowej z siebie skóry nie zrzucił i przeszkodzić może nam jeszcze... Co tu zrobić?... A! krzyknął po namyśle, idź duszeczko, do garderoby, a ja z nim dam sobie radę—zobaczysz serce!...

Marynka odeszła, Kajcio usiadł na ławce, na której przed chwilą Kiryło siedział—dobył papierosa, zapalił, parę misternych kófek w górę puścił i już miał *porte-tabac* chować, gdy nagle zwrócił się do stojącego nieopodal marszałka dworu Dosi.

— Może wy papieroska?...

— Je lulka—odpowiedział Kiryło.

— Prawda, że ty lulkę kurzysz—zapomniałem... A co tam tak patrzysz, Kiryło, na berberys.

— Wróble liczę.

— Na co to, serce?

— Ot tak, żeby robote *mać*.

— A wiele naliczyłeś, duszko?

— *Dwi kopy bez sztyrnaście*.

— Oho!

— Co tam tu, to u nas w Jaropowcach wróblów!...

— Dużo?

— Ehe!

— Czy ty był dzisiaj na mieście, Kiryło?

— A bo co?

— Żeby ty wiedział, jaka manażeryja przyjechała!... Lwy takie wielkie jak woły—a ryczą!... wielbłądy z dwoma garbami, słonie z trą-

bami na osiem łokci długości, a innych zwierząt ciekawych nie miara.... Czy ty widział kiedy manażeryje, Kiryło?

— Czemu nie?...

— Co, duszko?

— Widział, mówi.

— Ale takiej, to ty pewno nie widział...

— To i co?...

— Warto zobaczyć...

— Rozumu nie przybędzie.

— Jakto nie?—podsłoczył Jakowicz.—My przecie Kiryło rozumu nabywamy przez patrzywanie na zagraniczne rzeczy...

— To i rozum u nas za *granicu* wychodzi, a w domu niema.

— Ty wiesz, Kiryło, że ja dużo rzeczy na świecie widziałem. I w Rzymie byłem, i w Paryżu i tam gdzie sułtan siedzi, ale takiej manażeryi, gdzie niedźwiedzie sztuki pokazują, gdzie słoń naprzykład na wielbłądzie „wierzchem” jeździ—nie widziałem. Śliczne rzeczy!... Tylko co przyjechali, budę postawili na placu przy bulwarze, we środku latarniami oświecą i pokazywać zaczną...

Kiryło ruszył obojętnie ręką.

— To niechaj pokazują.

— I ty nie ciekawy zobaczyć?

— Nie.

— Jest afrykańska małpa!...

— Czy to ja małpy i *meź* ludźmi nie widzę?

Jakowicz podrapał się w brodę.

— Rozerwałbyś się, a na bilet ja tobie dam.

— *Ne treba!*

— Ale ty nic ciekawy nie jesteś!

— To i dobrze!... Prrr!... krzyknął nagle na wróble, które zerwały się dużą gromadką i wnet na dalszym krzaku usiadły.

Marynka z niecierpliwością oczekiwała Jakowicza. Wychylała się przez okno, za drzwi wybiegała, wreszcie przyszła do przekonania, że pan Kajetan naprózno będzie się wysilał, a upartego Kiryły nie przemoże. Czas uchodził, cienie wieczora coraz pełniejsze się stawały, na błękitach jedna, druga gwiazda błysnęła. Marynka się niecierpliwiła. Nagle jakaś myśl zbawcza do głowy jej przyjść musiała—skoczyła szybko do sypialnego pokoju swej pani i po chwili wybiegła z domu, dzwoniąc trzymanymi w wyciągniętej ręce kluczykami.

— Kiryło! Kiryło! — zawołała, zbiegając ze schodów... Nieszczęście! pani kluczyków zapomniała. A śpiesz i odnieś, bo będzie niespokojna.

Manewr się udał... Kiryło znał kluczyki pani i wiedział, że one różne klejnoty i grosz niejeden pod strażą trzymały. Wziął więc i choć u razie miał zamiar schować do kieszeni do czasu powrotu Dosi, po krótkim namyśle jednak, nie bez pewnych podejrzeń, rodzących się mu w głowie, mruknawszy coś pod nosem, splunął przez zęby, poruszył się i znikł w cieniach, zalegających ulice.

— Co ty zrobiła, Marynka?—zawołał Jakowicz, zaniepokojony nieco.

Panu potrzebne szuflady w gotowalni pani, nie kluczyki—odpowiedziała Marynka. Ja szuflady pootwierala, a Kiryłę wyprawila z kluczami. I dobrze! bo gdyby pani opatrzyła się, to możeby i sama przyjechała, a tak i pani nie przyjedzie i Kiryły niema!

Jakowicz Marynkę w objęcia chwycił.

— Maryneczko! — zawołał, z ciebie kobieta taka, jakiej ja jeszcze w swoim życiu nie widział. Złotko ty moje jedyne, zkąd ty się wzięła tutaj?... Pan Jezus ciebie zesłał prosto z nieba, jak Pana Boga kocham—prosto z samego

nieba! Chodźmy, duszeczko!... mnie tam trzeba jeden różowy liścik znaleźć—tylko jeden!

Po chwili zapłonęło światło w pokoju Dosi. Marynka stanęła na straży, Jakowicz drżącymi rękami wysuwał szuflady, gorączkowo dobywał listy z odpieczętowanych dawno kopert. Trząsł się, aż duże uszy kłapały.

Przed oczyma błysnął mu różowy papier.

— Aha!...

Chwycił, wyprostował, spojrzał na podpis... „Henryk”. Drugi, trzeci, dziesiąty list dobył—„Henryk”.

— Do dyjabła! mruknął...

Rozrywał koperty, miał listy z pośpiechu, na ziemię opuszczał, ale nie wątpił o skuteczności swoich poszukiwań.

Kiryło tymczasem, krokiem poważnym, założywszy w tył ręce, myśląc przy tem trochę o lwach ryczących i słoniu, jeżdżącym na wielbłądzie, szedł z kluczykami do Dosi. W powietrzu było cicho, gwiazd coraz więcej mrugało na niebie, a że dla skrócenia drogi szedł mało uczęszczanymi i niebrukowanymi ulicami, hałas przechodniów i turkot miejskich powozów, nie stawały na przeszkodzie myślom, szerokich, zielonych pól syna. Nagle, zatrzymał się, podniósł nieco głowę i słuchał...

Hen daleko, jakieś ciche, niepewne, urywane co chwila dźwięki zabrzmiały w powietrzu. Biegły szybko, wypełniały się, stawały się coraz więcej jednolite, dźwięczniejsze wreszcie zmieniły się w srebrzysty głos dzwonek.

— Pan jide!—szepnął do siebie Kiryło. Iwaś pohanijaje—dodał. Dzeń-dzeń, dzeń-dzeń!...

Przyspieszył kroku, z radosną już nowiną do Dosi śpiesząc.

W domu pana Henryka Kajcio Jakowicz nie próżnował. Powysuwał wszystkie szuflady w gotowalni dosinej, nie ominął żadnej kryjówki, nie przeoczył listu żadnego, ale upragnionego dokumentu wynaleźć nie mógł. Zaczął więc otwierać pudełka z klejnotami, zazierać do flakonów, w których niegdyś były perfumy, parę buteleczek potracił i wylał płyn wonny. Powietrze napełniło się zapachem... Zainteresowała go szkatułka, spróbował otworzyć, zamknięta była... Pożałował w tej chwili, że nie miał wytrychu przy sobie. Ale miał klucze — swoje własne klucze. Nachylił się, zmrużył jedno oko, przypatrzył się dziurce i kluczyk po kluczyku zakładać począł... Zamek klasnął—Jakowicz szybko wierzch podniósł, ale prócz nici, bawełny, szpilek i igieł, nic nadto nie było wewnątrz. Kajcio wsuwał długie palce do środka, macał dno, boki, szukał utajonej sprężyny;—tymczasem niedopalony papieros, który przed chwilą na brzegu stołu położył, potracony przez szkatułkę, ruszając się z powodu manipulacji rąk Kajcia: spadł na ziemię na leżących listów parę, które tleć zaczęły. Jakowicz nie zważał na nic, oddany cały wdzięcznej pracy poszukiwania skarbu. Pozostawała do przejrzania jedna już tylko szuflada, gdy nagle drgnął i pobladł straszliwie...

Turkot powozu, trzykrotny trzask z bąta i brzęk dzwonek, piekielną muzyką zahuczały mu w uszach. Gwałtownie drzwi się otworzyły i wpadła Marynka biała jak ściana.

— Pan przyjechał!—krzyknęła...

Jakowicz stał, jakby grom siarczysty przed samym nosem mu błysnął. Gębę szeroko otworzył, usta, uszy, policzki trzęsły mu się gwałtownie — nie wiedział sam, co miał czynić.

(Dok. nast.)